EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 kwietnia 1937 r. Rok IV, Nr. 7 (86)

Treść numeru:

ŻYWY JÓZEF PIŁSUDSKI

Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historii naszej, zgromadziwszy całą dostępną puściznę pisarską po pierwszym Marszałku Polski, ogłosił subskrypcję na jej nowe 10-tomowe wydanie na warunkach tym razem wyjątkowo tanich i dogodnych.

Odzew, jaki ta myśl wydawnicza znalazła w społeczeństwie, przekroczył najśmielsze nadzieje inicjatorów. Ci ostatni, polegając na doświadczeniu, uzyskanym przy ogłoszeniu pierwszej edycji, która ukazała się jeszcze za życia Autora, zakroili nakład początkowy na liczbę 10 tys. kompletów. Wszelako już w kilka dni po rozpisaniu przedpłaty okazało się, że popyt na dzieła Piłsudskiego nie pomieści się w ramach zamierzonych. Poczta jęła codziennie na biurkach Instytutu składać ponad tysiąc zamówień. Już po dwóch tygodniach wypadło liczbę nakładu podwoić. Gdy zaś napływ zgłoszeń w dalszym ciągu nie ustawał, musiano okres zapisów na prenumeratę przedłużyć, podnosząc jednocześnie nakład do rzadkich w Polsce rozmiarów 30 tysięcy kompletów.

Nakład taki stanowić będzie ogółem 300 tys. tomów, a więc liczbę w naszych warunkach pojemności książkowej wręcz imponującą i niezwykłą.

Czemu przypisać należy ten bogaty odzew? Czy tylko obniżonej cenie wydawnictwa? Cena udostępniona pozwoliła ujawnić się potrzebie, żywo odczuwanej w szerszych kołach obywateli, ale sama przez się nie byłaby zdolna jej wywołać. Potrzeba wyróść musiała i wyrosła z głębszych, wewnętrznych przeżyć narodu, który, trafnym wiedziony instynktem, czuje, że Piłsudski, choć odosobniony majestatem Wawelu, nie przestał być żywym naszym współcześnikiem.

I jeśli szeroki ogół Polaków tak skwapliwie sięga po zbiorowe pisma wielkiego rodaka, to wie, czego w nich szuka: z pewnością nie wspominków historycznych; z pewnością nie przebrzmiałej anegdoty wczorajszych zdarzeń i sporów, nad którymi zresztą, polityka bieżąca — bez dodatkowej zachęty — tak łatwo, być może zbyt łatwo — przechodzi do porządku. Polska szuka w nich współczesności. Szuka w nich tego, co nie przemija. Chce w nich odnaleźć to, co zostanie na zawsze. Chce w nich odczytać prawdę o sobie, wypowiadaną nieustraszonymi ustami. Chce, aby wespół z nią, w promieniu jej oczu, w zasięgu jej uszu, żył w swoim własnym słowie, pierwszy redaktor „Robotnika", pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej,

pierwszy Naczelnik Państwa. Chce, aby żył on — niestrudzony — w pochodzie własnego żywota, ale żywota całkowitego: *nie przykrawanego do wygód jednej grupy lub jednej przejściowej koniunktury.*

Zbyt bowiem długi, a w każdym razie dość długi był okres, w którym wielkość dzielono na porcje, jak marcepan, i ze szlachecką fantazją dowolności brano to, co każdemu przypadało do smaku. Gdy więc jedni wybrednie „brali" Piłsudskiego dopiero od Nieświeża, drudzy byli przekonani, że czynią mu zaszczyt, „uznając" jego drogę już od Magdeburga; inni wspaniałomyślnie aprobatę swą rozszerzali w jego życiu na Legiony, lub na Związek Walki Czynnej. Przy czym jedni i drudzy i trzeci byli zgodni w tym, że to, czego „uznać" nie chcieli, nadawało się tylko do wybaczenia: tak „wybaczano" Piłsudskiemu w rozmaitych fazach jego życia i to, że był socjalistą, i to, że stał się żołnierzem, i to, że umiał być wodzem; i to, że nie chciał być dyktatorem.

Dziś, oczywiście, jest rzeczą obojętną, że jedni „uznawali" Piłsudskiego właśnie za to, co inni w nim potępiali lub gotowi byli „wybaczać". Ważne jest to, że dorobek tego człowieka, póki żył, łamano na części i częściami rekwirowano na użytek oddzielnych warstw i gniazd interesu. Przed rekwizycją taką nie cofnęła się nawet Narodowa Demokracja: — stronnictwo, które karierę swą budowało na systematycznym zniesławianiu pracy Piłsudskiego. Było to na schyłku wojny światowej, gdy rząd Świerzyńskiego, zastraszony łoskotem walących się tronów w państwach zaborczych, zaofiarował w swym gabinecie jedną z tek ministerialnych... więźniowi Magdeburga: wiedzieli gracze „narodowi", że nie mogą w swoim gronie mieć *osoby*, tym skwapliwiej przeto sięgnęli po nazwisko Piłsudskiego.

Czy można było iść dalej w bezceremonialnym żerowaniu na dorobku cudzego życia? A przecież mieli znaleźć się i tacy, którzy ten rekord pobili. Znaleźli się dziennikarze, którzy, nie poprzestając na rozbijaniu wielkiego żywota na części, zamierzyli te oddzielne części skłócić między sobą; jedne przeciwstawić drugim; jedne na rzecz drugich poświęcać; jedne kosztem drugich wywyższać. Patrzącemu na tę robotę mogłoby się wydać, że w Polsce, nazajutrz po śmierci Piłsudskiego, znalazło się miejsce na jego szklaną trumnę, nie starczyło go na to, aby objąć całokształt jego życia.

I oto, w takiej chwili, jawi się szczęśliwa decyzja: wydać *zbiorowe* pisma Piłsudskiego! I oto, w takiej chwili, na szczęśliwą decyzję przychodzi żywiołowa odpowiedź! Bo owe 300 tysięcy tomów, na które zgłoszono zamówienia, to jest istotnie wymowna odpowiedź na milczące pytanie: Piłsudski? — Tak, ale cały; ujęty w pełni swego ducha, *odbudowany w całokształcie swego życia, a więc także w swoim dorobku demokraty, który włączyć należy z powrotem do obiegu współczesnej myśli polskiej.* Owe 300 tysięcy tomów — to już nie jest tylko powodzenie wydawnicze: to jest plebiscyt narodowy. Plebiscyt, który mówi, że indywidualności człowieka nie można odrywać od podłoża dziejowych sił społecznych, z których on wyrósł; że jej nie można drobić na okruchy, aby czynić z nich pokarm lub przynętę dla karłów.

Trzysta tysięcy tomów poniesie w społeczeństwo żywą autentyczną myśl; żywy, genialny autoportret. Ile w myśli tej — już od samego jej zarania — zawiera się siły i przenikliwości widzenia, ile nieprzedawnionej prawdy. Czytelnicy nasi przekonają się z krótkiego pokłosia, które dajemy poniżej; z pokłosia, które zebraliśmy w pismach Józefa Piłsudskiego na rozległej przestrzeni lat *niemal trzydziestu.*

W. Rzymowski.

„NIE CHCĘ DOPUŚCIĆ, ABY, GDY OCZY ZAMKNĘ, MEGO GŁOSU BRAKŁO"...

DZIWNE SĄ ZRZĄDZENIA LOSÓW

Wilno, 1.II. 1893 („Przedświt" 3)

Nowy rok przyniósł nam zmianę dotychczasowego naszego satrapy, jenerała Kachanowa, który został przeniesiony na odpoczynek do rady państwa. Pan Kachanow nie zostawi zapewne tutaj nikogo, ktoby zapłakał nad jego losem, — chyba żony urzędników, które miały w nim stałego adoratora, będą go żałowały. Ostatnie czasy panowania jenerała stały się wprost skandaliczne. Jenerał-galant oddał ster rządu w ręce żony jednego ze swych urzędników, pana Samojły, który, ma się rozumieć, umiał korzystać z tego: pan ten doszedł do tego stopnia bezczelności, że sprzedawał z licytacji urzędy i stanowiska i głośno się chwalił ze stosunku swej żony do jenerał-gubernatora.

Lecz ostatecznie zgubił Kachanowa — któżby się tego domyślił — Murawiew. Jak wiecie zapewne, pan Kachanow postanowił uwiecznić pamięć Murawiewa i postawić mu w Wilnie pomnik. Na odezwę w tym względzie, zwróconą do Rosjan, zaczęły spływać do Wilna na cel tak szlachetny obfite sumy, które, ma się rozumieć, wzbudziły apetyt u wiecznie głodnych pod tym względem czynowników. W końcu zeszłego roku po dokonanej rewizji dowiedziano się, że Murawiew pomnika mieć nie może, gdyż nieudolni naśladowcy jego ukradli sumy, na ten cel przeznaczone. Rozpoczęto badania. i urzędnik Simonienko, aresztowany jako sprawca kradzieży, wydał swych wspólników, pomiędzy którymi głównym hersztem był pan Samojło. Simonienko wkrótce umarł; powiadają, że otruty. Sprawę jako tako umorzono, ale Kachanow tak się skompromitował, że musiano go usunąć.

Dziwne są zrządzenia losów!

Kachanow, który rozpoczął swą karierę w Wilnie szumną mową, witaną przez wszystkie dzienniki rosyjskie kierunku „patriotycznego", jako prolog do energicznych działań przeciwko „polskiej intrydze", zakończył ją, okradając sumy, złożone na pomnik jego ideału, Murawiewa.

„TRZEBA MU SILNEJ WŁADZY i... RÓZGI"

Następcą Kachanowa mianowany został jenerał Orżewski, były naczelnik żandarmów w państwie rosyjskim.

O wpływach, które go wysunęły na to stanowisko, i o jego charakterze krążą po Wilnie różne pogłoski i wersje. Z pomiędzy nich wybieram najcharakterystyczniejszą. Powiadają, że car czuje pewną urazę do Orżewskiego za strach, przyczyniony mu niedoszłym do skutku zamachem 13 marca 1887 roku, gdy Orżewski został usunięty ze stanowiska szefa żandarmów. Był więc car przeciwny mianowaniu Orżewskiego na jakąkolwiek posadę i ustąpił tylko naleganiom księcia Mieszczerskiego.

Charakterystyczny w tej wersji jest wpływ księcia Mieszczerskiego. Pan Mieszczerski jest to wydawca jedynej w swoim rodzaju gazety *Grażdanin*. Oto jest teoria tej gazety: Rosjanie to — naród wybrany, mający dwie podstawy niewzruszone: *samodzierżawie* i *prawosławie*, które go robią silnym i postawią go na czele zgniłej do szpiku kości Europy. Dla wypełnienia swej misji nie trzeba mu wcale nauki, gdyż znany jest fakt, że Rosjanin sprytem przyrodzonym „zatknie za pas" wszelkich uczonych Europy.

Trzeba mu tylko silnej władzy i... rózgi.

Wszelkie inne plemienne żywioły w Rosji powinny być wytępione. Ideał Mieszczerskiego jest następujący: u dołu sprytny lud, trzymany na wodzy przez szlachtę z rózgą w ręku, a ponad wszystkim silny, absolutny rząd, zamykający szkoły i karcący jak najsurowiej wszelkie przejawy życia społecznego. Trochę to przypomina pańszczyznę i Mikołajewskie czasy, ale nie to uważam za „signum temporis", gdyż ostatecznie całe panowanie teraźniejsze jest rozwojem powolnym tych zasad. Nie; charakterystyczny jest ton, w którym się to mówi; zaciętość i zaciekłość w przeprowadzaniu owych maksym. Tu nie ma żadnych względów. Nauka przeszkadza — neguje się wszelkie wywody nauki; rózga się podoba — dochodzi się do twierdzenia, że rózga to najlepszy środek pedagogiczny, to dobrodziejstwo; prasa, szkoła przeszkadzają — mówi się wprost: wszystkich gazeciarzy trzeba potopić (sic!), a szkoły zamknąć lub w najgorszym razie oddać je w ręce niewykształconych popów; Polacy, Żydzi?— co za ceremonie z nimi, wypędzić z kraju i basta!

Ta bezwzględność właśnie szowinizmu, to negowanie cywilizacji i nauki, ten bezwstyd w idealizowaniu okrucieństwa i nędzy umysłowej — oto co uważam za oznakę czasu....

BYŁO TO JESZCZE ZA RZĄDÓW KACHANOWA...

Wilno, 4.III. 1893 („Przedświt" 4)

...*A propos* teatru muszę zaznaczyć, że Żydzi teraz nie tak chętnie doń uczęszczają, a to z powodu wypadku, który chyba w Rosji tylko mógł się wydarzyć.

Było to jeszcze za rządów Kachanowa, w czasie, gdy wszelkie prześladowania Żydów były na dobie. Otóż, pewnego dnia pan Kachanow spostrzegł, że pomiędzy jenerałami i wyższymi urzędnikami w pierwszym rzędzie krzeseł teatru siedziało kilku bogatszych Żydów. Nazajutrz pan jenerał wzywa do siebie kilku rabinów i więcej znanych Żydów i zwraca się do nich z krótką lecz energiczną przemową: „Proszę nie zapominać, że jesteście Żydami tylko, a nie jenerałami, co do których powiniście zachować wszelkie względy grzeczności i poszanowania. Wczoraj widziałem kilku z was w pierwszym rzędzie krzeseł. Proszę, żeby tego nadal nie było!"

Krótko i węzłowato!

Żydzi po tym wypadku przestali bywać w teatrze i.... skutkiem tego było bankructwo antreprenera....

OSZCZĘDNOŚCI PRZEDE WSZYSTKIM

Wilno, 8.VII. 1893 („Przedświt" 7)

...Najwięcej szans (przy wyborach na burmistrza) ma Gołubinow, dyrektor szkoły realnej w Wilnie. Posiada on rzeczywiście zalety, które go doskonale kwalifikują na „głowę" naszego miasta. Po pierwsze jest to znany głupiec, z którego cała jego szkoła się śmieje, po wtóre kariera jego rozpoczęła się korzystnym ożenkiem z utrzymanką jednej z wyższych figur urzędniczych, po trzecie należy on do kółka wyższej biurokracji, która przewodzi w rusyfikacyjnej polityce.

Już teraz wielu radnych żałuje, że dali mu możność zająć to stanowisko. Jest to zresztą jeden z wielu faktów, świadczących o nieudolności i służalczości naszych klas uprzywilejowanych. O ile się wyjaśniło, to i nadal rada miasta będzie prowadziła politykę „oszczędnościową", rozumie się z wyjątkiem wypadków, gdy chodzi o napełnienie własnej kieszeni. Doskonałą ilustracją jest fakt następujący. Na pierwszym posiedzeniu nowej rady zwiększono znacznie pensje uprzywilejowanych urzędników, panów członków zarządu miejskiego i sekretarza miasta, lecz gdy zaszła mowa o powiększenie liczby agentów miejskich przy szlachtuzie, gdyż ci nieuprzywilejowani zmuszeni są nieraz pracować tygodnie całe od godziny trzeciej w nocy do dziesiątej wieczorem, rada uznała to za zamach na fundusze miasta i wyrzekła: „Oszczędności przede wszystkim!"

Podobną też politykę oszczędnościową prowadzą bohaterowie pracy organicznej, chrześcijańscy właściciele większych sklepów i magazynów, zbawiający ojczyznę przez napełnianie własnej kieszeni....

NASZE PANIE ARYSTOKRATKI

Wilno, 18.V. 1894 („Przedświt" 5)

Gdyby ode mnie zależało kierownictwo sprawy rusyfikacji kraju tutejszego, doprawdy użyłbym do tego naszych klas uprzywilejowanych. Jesteśmy Polacy, a więc popędy stańczykowskie są w nas bardzo silne: dosyć jest na nas kiwnąć palcem, a zagrzmi wśród nas okrzyk: „Przy tobie, Panie, stoimy i stać chcemy!" Przykładów tej wstrętnej skłonności mógłbym przytoczyć mnóstwo.

Oto, naprzykład, nasze panie arystokratki i panie, mające pretensje do arystokracji, jadą nieproszone z wizytą do pana Orżewskiego, który jeszcze nie zdążył zmyć z rąk krwi nieszczęśliwych krożan....

ŁACHMAN SZOWINIZMU NARODOWEGO

3.VIII. 1895 („Robotnik" 8)

Rana zadana przez najazd rosyjski zaognia się coraz bardziej.... A jak każda klęska, dotykająca szersze koła ludności, czy to będzie głód, cholera, powódź, czy też niewola, ucisk ten (narodowościowy) całym swym ciężarem spada na barki mas pracujących, omijając lub z lekka tylko potrącając bogaczy.

Polska klasa robotnicza, w poczuciu dziejących się jej krzywd, stanęła do walki o byt swój zagrożony, o lepszą dolę w przyszłości; w walce tej poczuła ona na swych rękach kajdany rządowe, które, pozbawiając robotników swobody ruchów, tym samym oddają ich na łup pijawek kapitalistycznych. Poza plecami swojskich wyzyskiwaczy ujrzano stojący w ich obronie rząd despotyczny.

I zawrzały piersi ludu pracującego gorącą nienawiścią do tego ciemięzcy, nienawiścią tym gorętszą i głębszą, że łączy się z nią świadomość, iż krępujące nas kajdany rządowe zostały nam narzucone przemocą przez najeźdcę. Hasło: „Precz z samowładnym rządem najezdniczym!" — wytyka odtąd drogę, po której ma iść proletariat polski w walce o swe interesy klasowe. Tak więc naturalny bieg wypadków połączył u nas kwestię zdobycia potrzebnych dla klasy robotniczej praw politycznych z kwestią obalenia najazdu....

...Rząd samowładczy (po zabójstwie cara Aleksandra II) stracił na razie głowę, lecz wkrótce, idąc w ślady despotów wszystkich wieków i narodów, trafił na dobrą dla siebie drogę. Wywiesił on, jako sztandar, brudny, zszargany łachman szowinizmu narodowego i wskazał rosyjskim posiadaczom na „cywilizacyjne posłannnictwo" wśród obcoplemiennej ludności. Fijołki*) i inne pachnące kwiatki, bujnie rosnące na dobrze zagnojonej niwie caratu, podniosły głowy, czując, że czasy ich jeszcze się nie skończyły....

...Nastały w Rosji inne czasy. ...Dawniejsze źródło sił radykalizmu — młodzież uniwersytecka — tłumnie przeszła do przeciwnego obozu i coraz częściej słyszymy o wrogich wystąpieniach młodzieży rosyjskiej przeciwko kolegom Żydom, Polakom lub innym nie-Rosjanom. Nawet półradykalne pisma, które zostały na dawnym stanowisku opozycji względem rządu, nie rozumiejąc reakcyjnej podstawy działalności rządowej, chwalą ją, gdy się tyczy ona takiej, naprzykład, kolonizacji włościan rosyjskich na zachodnich kresach wśród Litwinów i Rusinów....

...GDZIE POPI OGŁUPIAJA DZIECI...

15.VIII. 1895 („Robotnik" 9)

...za dawnych czasów, gdy burżuazja narówni z pracującymi była pozbawiona wszelkich praw politycznych, a kapitalizm nie przeprowadził jeszcze jasno określonej pomiędzy teraźniejszymi klasami granicy, liberalny jej sztandar w dziewiczej czystości powiewał nad narodami, obiecując im wyzwolenie z niewoli. Lecz prędko utracił on swoją dziewiczość i teraz widzimy burżuazję na rynku politycznym w postaci brudnej prostytutki, kupczącej ostatkami swych wdzięków....

. . . .

. . . .

Niepodległość Polski, dając proletariatowi demokratyczny ustrój, usunie zarazem tamy i zapory, jakie zwykle rozwojowi cywilizacyjnemu podbitego narodu stawią rządy zaborcze. Sprawa robotnicza stanie się jasna i zrozumiała w najgłuchszych kraju zakątkach. Dwa będą tylko obozy: jeden polskich robotników, drugi — polskich posiadaczy. I jeżeli teraz szala zwycięstwa pod naciskiem rosyjskich bagnetów i nahajek waha się jeszcze, to wtedy bez obcego wpływu przechyli się ona stanowczo na stronę robotników.

NIE MY SPROWADZAMY WALKĘ KLASOWĄ

4.X. 1896 („Robotnik" 17)

— Jak to — mówią oni (przeciwnicy socjalizmu) — socjaliści dążą do zniesienia klas, do braterstwa ludzi, a wzbudzają walkę pomiędzy klasami, wzniecają nienawiść zamiast owego braterstwa.

Socjaliści zupełnie słusznie odpierają ten zarzut, mówiąc:

— Nie my wzniecamy nienawiść; nie my sprowadzamy walkę klasową; wy sami swoim wyzyskiem to robicie; usuńcie się — a walki nie będzie!

To samo powiedzieć możemy i w wypadku ucisku jednej narodowości przez drugą. Nie ten jest szowinistą, kto, uciskany, chce zrzucić swe jarzmo, a ten, kto je narzuca; on jest przyczyną walki i niezgody....

. . . .

. . . .

...hasła Wolności, Równości, Braterstwa, hasło Niepodległości u nas coraz bardziej stają się wyłączną własnością ludu pracującego

. . . .

. . . .

...W Warszawie car (Mikołaj II) bawił niedługo, bo 20 minut, i to starannie objechał ją koleją obwodową, szczelnie otoczoną zwartymi szeregami garnizonu warszawskiego. W tym krótkim czasie jednak polscy magnaci herbowni i pieniężni zdążyli raz jeszcze liznąć stopy swego pana.

PRZESTRASZONY BOGACZ SZUKA RATUNKU

Przed 50 laty, za Mikołaja I, był czas, gdy woli cara posłuszna była cała Europa. Jako zaciekły reakcjonista w walce z ówczesnymi prądami rewolucyjnymi, godnie zasłużył na miano żandarma Europy.

Teraz, zdaje się, czasy te wracają. Klasy rządzące w Europie mają przed sobą potęgę robotniczą, grożącą nie dziś to jutro znieść ich przywileje, pozbawić ich władzy. I przestraszony bogacz szuka ratunku. Tym ratunkiem jest rząd policyjny, rząd wojskowy, we krwi gaszący wszelkie pragnienia lepszej doli. Ale sama burżuazja nie jest w stanie tego dokonać i robotnicy są zbyt silni, by na to pozwolili. Jedyna więc deska zbawienia w wystraszonej wyobraźni burżuazji to car, który ma siłę i moż-

*) Fijołki — żandarmi w gwarze partyjnej.

ność robienia tego, o czym ona marzy. Stąd jej płaszczenie się przed carem. Stąd jej zachwyty. Nie szkodzi, że głupi — rozumnymi są tysiące jego bagnetów, genialną — nahaja kozacka. Powiadają, że niewymowny — bagatela: wymowną jest carska polityka względem robotników — Łódź, Żyrardów, cytadela, więzienia....

6.XII. 1896 („Robotnik" 19)

...gdzie jest wyzysk, tam musi się zjawić i ucisk: jest on prostym następstwem wyzysku, bo krzywdzony zawsze pragnie się bronić i trzeba go poskramiać, by odpadła mu do tego ochota, lub całkowicie zgnębić....

12.XII. 1897 („Robotnik" 25)

...W swobodnej Polsce, zdobytej naszymi dłońmi, nie będzie miejsca dla morderczych wybryków bogaczy, bo na straży sprawiedliwości będzie stać sam gnębiony dziś i wyzyskiwany lud pracujący.

11.X. 1898 („Robotnik" 29)

Niewola moskiewska tym się różni od wszelkiej innej, że oprócz krzywdy i ucisku naród ujarzmiony znosić musi stale upokorzenia. Rząd carski za przykładem wszystkich despotów Wschodu lubuje się w zewnętrznych przejawach uległości i pokory, w obrażaniu godności ludzkiej niewolnika.

Niedość mu uderzyć nahają: chce on jeszcze, by uderzony pocałował narzędzie tortury; mało mu powalić przeciwnika, trzeba jeszcze wymierzyć zwyciężonemu policzek....

. . . .

...pokora, posłuszeństwo, uległość, jednym słowem, wszystko, co cechuje niewolnika, o tyle stoi w sprzeczności z wzrastającym poczuciem godności osobistej, że tylko namacalne korzyści mogą skłonić ludzi do hołdowania zasadom służalczym.

ŚWIADOMOŚĆ KLASOWA

24.I.1900 („Kurierek Robotnika")

Nasze klasy posiadające, które potrafiły spaczyć powstania demokratyczne i zdołały odebrać tym ruchom znamiona walki przeciwko reakcji rodzimej, nie będą w stanie tego uczynić w przyszłości, gdyż nie pozwoli na to świadomość klasowa, nabyta przez lud roboczy w nieustannych walkach z wyzyskiem....

SPÓJRZCIE RAZ PRAWDZIE W OCZY!

1895 (Jednodniówka „Robotnika")

Chłop (rosyjski) widzi tylko koniec swego nosa. Pan, urzędnik, lichwiarz wyzyskują go — zasługują więc na jego nienawiść, dalej jednak chłop nie sięga, i nienawiść jego nie jest, że się tak wyrazimy, produkcyjna, gdyż brak jej szerszej świadomości.

Jest to tak, jakgdyby robotnik czuł tylko wyzysk fabrykanta, u którego pracuje, i nie rozumiał, że wyzysk ten zależny jest nie od danego fabrykanta, ale od całości ustroju kapitalistycznego.

ŚLICZNY OKAZ RDZENIA NARODOWEGO

1913 „Orientacja pana Balickiego"

Kluczem, rozwiązującym (w mniemaniu przewódców Narodowej Demokracji) wszystkie zagadki ruchu niepodległościowego i organizacyj strzeleckich, jest nie co innego, jak znana afera szpiegowska osławionego Redla. W Polsce bowiem, gdzie istnieje taki śliczny okaz „rdzenia życia narodowego", jakim jest pan Balicki i Dmowski, nie może być mowy o ruchu powstańczym i niepodległościowym i, naturalnie, dla wyjaśnienia tak potwornego zjawiska w życiu ujarzmionego narodu polskiego trzeba sięgać przede wszystkim do obcych narodów, a jeszcze lepiej — brudnych i wstrętnych źródeł. Tylko bowiem z takiego źródła płynąć może tak ohydny prąd, jak dążenie do wywalczenia niepodległości Polski....

NIE SĄDZĘ JEDNAK...

Warszawa, 19.X. 1919

...chcę zgody i jedności, nie sądzę jednak, aby zgoda i jedność pojmowane być mogły w społeczeństwie nowoczesnem jednostronnie. Nie sądzę, aby zdrowem było oszukiwać siebie twierdzeniem, że „wszystkie koty są szare", gdyż bywa to tylko wtedy, gdy zgodnie z przysłowiem noc panuje i wzrok ciemności zasłaniają. Przy pierwszym blasku dnia cała tęczowa różnobarwność występuje najaw, od jaskrawej czerwieni począwszy, kończąc ciemnym fioletem. Podstawą takiej zgody może być tylko praca, nie żądająca od nikogo wyrzeczenia się swojej indywidualności, wyrzeczenia się swoich myśli. Rzetelna zgoda i jedność oparta być może jedynie na współpracy, a nie na eksluzywności...

„WILNO BYŁO MOIM EGZAMINEM"

Wilno, 18.VIII. 1923 („Dowodzenie podczas wojny")

...Ciężko wyznać — byłem Naczelnym Wodzem sił polskich*), lecz wiedziałem, czemu zawdzięczam to stanowisko. Bo nikt nie śmiał, każdy przed tym ciężarem by się cofnął. Gdy wojska prawie nie ma, to, co jest, wygląda, jak żebraki, gdy wokoło rewolucja kładzie trupami oficerów, wszyscy się cofają. Ja wziąłem to na siebie śmiało i spokojnie, lecz dobrze wiedziałem, że brak mi autorytetu. Wszak byłem tylko brygadierem, do naczelnego dowództwa— skok olbrzymi. Gdzież doświadczenie, gdzież jest pewność, że podwładny mi nie zarzuci, że on jest mądrzejszy, bardziej zdatny ode mnie.

Gdy państwo wybiera wodza, szuka ludzi silnych, ambitnych, wierzących w siebie. Ambicji tej miałem poddostatkiem. Szukałem egzaminu, by dowieść, że co ja zrobię, tego nikt nie zdoła. Piętrzyłem trudności, szukałem nadzwyczajności, by dowieść, że mogę zwyciężyć.

Wilno było moim egzaminem.

GŁUPIA OPASŁA BABINA REPREZENTUJĄCA OPINIĘ

Wilno, VIII. 1923 („Sprawa Wileńska")

...Pierwsze kroki państwowe Polski związane są ze mną dlatego, że praca całego narodu oraz losy moje wyniosły mnie na najwyższe szczyty.... Byłem

*) Mowa tu jest o wyprawie na Wilno w kwietniu 1919.

Naczelnikiem Państwa, wybranym jednogłośnie przez Sejm.... Byłem Naczelnym Wodzem podczas wojny. To znaczy: rzadko człowiekowi do rąk tyle władzy się daje.

I oto ten człowiek spotyka stałe w swojej pracy jedne i te same przeszkody....

Proszę panów! Wczoraj, gdym mówił, z czym się spotkała moja odezwa wileńska, gdym stwierdzał, że spotkała się natychmiast z określeniem, że przygotowuję tron wielkiego księcia litewskiego w Wilnie i dla swojej Żydóweczki go przeznaczam— panowie spotkali me orzeczenie śmiechem. Zatrzymałem was w śmiechu, gdyż rzeczy te nie są tak śmieszne, gdyż są one stałe i codzienne....

Proszę panów! Świeżo przed wyjazdem tutaj otrzymałem wycinek z jakiegoś pisma („Kurier Poznański", 26.VII.1923). Nad tym napis:

Wiedz o tym, były Naczelniku,
Że na sumieniu masz hańby bez liku.

Znane mi i scharakteryzowane w broszurze o przyjacielu moim, Narutowiczu, wszawe roboty anonimów. Proszę Państwa! Ze zdumieniem wyczytałem tam rzeczy następujące, kreacje z Wilna niejakiego pana Jana Obsta, sutenera, w których czytam odę do mego nazwiska: „Jeden jeszcze przykład, iż *„familia"*, rządząc w ciągu czterech lat samowładnie Polską, nie zapomniała o swych osobistych interesach.... Niech nikogo nie zdziwi, iż pierwszym życzeniem, jakie wypowiedział pan Piłsudski w odzyskanym Wilnie, było, aby mu społeczeństwo odkupiło dobra rodowe, położone w powiecie Święciańskim, a przez utracjuszostwo ojca zaprzepaszczone. Kiedy zaś ktoś z otoczenia nieśmiałą zrobił uwagę, że obszar tych dóbr znacznie przewyższa owo maximum, projektowane przez polską ustawę rolną, machnął tylko lekceważąco ręką".

Naturalnie, był pan Obst przy tym. Widział, jak lekceważąco machnąłem ręką.... Człowiek, który takie rzeczy pisze, jest naturalnie płatny. Ktoś za to płaci.... Człowiek taki zarabia. Taki człowiek jest kupny. Każdy kupić taką szmatę ludzką może, ale najwyżej jest ceniona u nas. Bowiem tylko głupia babina, reprezentująca opinię polską, może za głupie szmaty drogo płacić.... Gdzieindziej trzech groszy za toby nikt nie dał.

Proszę Panów!... Dowiedziałem się, będąc we Lwowie na zjeździe legionistów, że jest w Sandomierszczyźnie pewna ziemianka, która głośno opowiada, że kwaterowałem w jej domu w roku 1915, przyczym ukradłem jej mężowi jakieś żółte buty. Panom to wydaje się śmieszne. Ależ, proszę panów, sam pomysł opowiedzenia tych rzeczy jest oryginalny. Ta pani u której stałem, czy nie stałem, której synowie szli do boju pod moim dowództwem, ta głupia babina, reprezentująca opinię w swojej sferze, da opinię, odpowiednią do rozumu sfery, do której należy. Jest ona zresztą echem jednej pracy znanego posła Zamorskiego*), który publicznie opisał, że jestem bandytą i dywizja legionowa z bandytów się składa.

Jednak „bandyta" był Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem. To nie przeszkadzało jednak, że te rzeczy były czytane i pisane.... Historyk, badający te rzeczy, musi natrafić na tę pracę i musi zdawać sobie sprawę — skądże taki głupi naród był, który człowieka, kradnącego buty, wybiera na Naczelnika Państwa? Czyż nie był kto inny do tego? Chyba może która ziemianka? Głupota jest zadziwiająca i dlatego tak spokojnie mówię o opasłej głupiej babinie, urządzającej hece narodowe.

*) Jeden z najwybitniejszych przewódców Narodowej Demokracji, przyjaciel Romana Dmowskiego.

W JEDNEJ SZMACIE „NARODOWEJ"

Dam przykład jeszcze jeden. W jednej szmacie „narodowej" — *Gazecie Warszawskiej* — Obst czyni rewelacje. Czytam w niej nagle o sobie — bo jakżeby beze mnie w tej pracy się obeszło? — „Poza odczytami swoimi w Wilnie Piłsudski mało się udziela szerszym masom. Siedzi u brata swego, odbywa konferencje z przyjaciółmi z „szestnastki", z mniejszością i z Taraszkiewiczem". — Może to komu w Wilnie potrzebne, aby takie rzeczy w Warszawie mówiono.... Gdybym chciał mówić z Taraszkiewiczem, tobym to spokojnie uczynił, nie potrzebowałbym tego czynić w cichości i konspiracji.

CZŁOWIEK UPOKORZONY NIE ZNA DUMY

Każdy historyk z tą stroną życia polskiego zetknięty, będzie musiał odpowiedzieć sobie na pytanie — cui bono? Że ktoś ma z tego korzyść, to jest pewne; że komuś to jest potrzebne — to oczywiste....

Teraz przechodzę do hypotezy, bardzo głęboko sięgającej, sięgającej do głębi naszego życia publicznego.

W Polsce życie publiczne za czasów niewoli miało cechy niezwykle upokarzające. Była to służba dla obcych, służba nie dla Polski, służba dla zaborców. I każdy z zaborców starał się mieć ludzi, gotowych do służenia im. Gdy zaś przyszła wojna ze swymi wymaganiami, gdy na wojnie, zgodnie z moim określeniem, żądano nietylko ciała, lecz i duszy, służba stała się jeszcze bardziej upokarzająca. Służono we wszystkich trzech zaborach.... Dusza musiała się zbrukać w służbie u obcych. Widziałem, jak Moskale wiankiem pożarów znaczyli swe drogi w Polsce. Widziałem zanik ludzkich istot, zbolszewizowanych wojną, toczoną w Polsce, nie dla Polski i nie o Polskę....

...W tej pracy byłem i ja. Zdołałem wielkim wysiłkiem woli uchronić się od brudu pracy dla okupantów, bo nie daję zbrukać siebie, ani ludzi, których prowadziłem. Miałem za sobą prześladowanie i więzienie magdeburskie. Gdy trzeba było stawiać ostre karty — stawiałem. Jedynie honoru i czci dać nigdy nie chciałem.

. . . .

Proszę panów! Kiedy nad tym się zastanawiam, często przychodzi mi na myśl, że ludzie najbardziej zbrukani w służbie dla obcych, nie mogą znieść tej prawdy, nie mogą spokojnie nad tym przejść do porządku dziennego, że na wyżyny w Polsce został wyniesiony człowiek, który dumnie głowę nosi, człowiek, na którego czci skazy nie ma, który ma za sobą prace tak trudne, jak może nikt z Polaków... Człowiek głęboko upokorzony nie znosi dumy...

GDY OCZY ZAMKNĘ...

...Nie chcę dopuścić, aby, gdy oczy zamknę, mego głosu przy tworzeniu mojej postaci brakło, mego stwierdzenia własnej mojej pracy, gdyż wtedy jestem spokojny, że dzieci moie i dzieci wasze z radością myśleć będą o tym, jak ongi w obronie Polski występował niejaki Józef Piłsudski.

Sejm Królestwa Polskiego o sądach przysięgłych

J. E. panu senatorowi Wacławowi Sieroszewskiemu, prezesowi P. A. L., jako zwierciadło, w którym snadnie przejrzeć się może, poleca poniższą lekcję historii

REDAKCJA „EPOKI".

Nic chyba w dziejach nie powtarza się z taką dokładnością jak metody reakcji społecznej wobec wszelkich przejawów postępu. Nie tylko „duch wieczny rewolucjonista" zasługuje na miano wiecznego. Wieczny i nieśmiertelny jest też duch reakcji. Zmartwiały i skamieniały w formach przed wiekami przyjętych, nie jest zdolny spłodzić nawet jednego nowego argumentu na swoje usprawiedliwienie.

W r. 1820 sejm Królestwa Kongresowego stanął wobec rządowego projektu prawa karnego, w którym jednym z najważniejszych punktów było zniesienie *sądów przysięgłych*. Nie był ten projekt bynajmniej jakimś nieoczekiwanym wyskokiem, był przejawem konsekwentnie stosowanego systemu. Królestwo Kongresowe rozpoczęło żywot pod znakiem liberalizmu, u fundamentu położono konstytucję, zapewniającą jak na ówczesne warunki wiele obywatelskich swobód. (Nie dla wszystkich oczywiście, po za ich zasięgiem zostało ok. 80% społeczeństwa t. zn. całe chłopstwo). Szlachecko-mieszczańskie społeczeństwo otrzymało system reprezentacyjny — sejm, decydujący wpływ na samorząd regionalny; konstytucja gwarantowała wolność druku — słowem zanosiło się na idyllę. Rychło jednak przekonał się rząd Królestwa, jak niewygodna jest zależność od sejmu w sprawach gospodarczych, np., kiedy idzie o to, aby ciężary przerzucać na tych, którzy posiadają mniej. Wielki obszarniczy i burżuazyjny kapitał rychło przekonał się jak trudno jest kierować „nawą państwową", kiedy trzeba uzależniać się od szerokich warstw. Dostojnicy kościelni zgodzili się z nimi, że prostsze będzie wprowadzenie rzesz na drogę cnoty, jeśli nie trzeba będzie każdego posunięcia przedkładać do aprobaty sejmowi.

Po krótkim okresie parlamentarnej i liberalnej sielanki zaczęły się pierwsze zgrzyty. Położono rękę na prasie, tępiono każdy przejaw myśli niezależnej.

W r. 1820 rząd przypuszczając, że zdobędzie większość w nowej izbie (wybory odbyły się przy wyraźnym nacisku rządu), przedłożył jej projekt prawa karnego. Projekt miał wyraźne oblicze. Szło o „wzmocnienie rządu", a więc np. o pozbawienie sejmu prawa pociągania ministrów do odpowiedzialności. Znoszono jawność sądów, „zmierzano wyraźnie do ulegalizowania środków dochodzenia przestępstw politycznych, dotąd ściganych i karanych samowolą administracyjną".[1]) Dokonywano wreszcie zamachu na udział czynnika ludowego w sądownictwie, znoszono sądy przysięgłych.

Sprawozdanie z dyskusji sejmowej nad sprawą sądów przysięgłych (Wrzesień 1820 r.)[2])

Po odczytaniu projektu referent *Zieliński* podkreślił, że projekt oparty jest na „najlepszych źródłach", najważniejsza zaś jego zaleta, iż nie jest stosowaniem obcych wzorów, jest „narodowy". Referent opowiada się przeciwko sądom przysięgłych, ponieważ ten „zwykle składa się z ludzi ani teorii ani praktyki w sądownictwie nie mających". Przysięgli kierują się instynktem a wiemy jak zawodny to sprawdzian. „Instynkta są wypływem żądzy i pragnień" przeto nie mogą służyć do poznania prawdy. Rząd — podkreśla referent — zasięgnął opinii sfer sądowych, z pośród 47 instytucyj sądowych 41 opowiedziało się przeciwko sądom przysięgłych.

Po nim zabrał głos radca stanu *Potocki*, wyrażając swą zgodę ze stanowiskiem referenta, oraz usiłując przekonać Izbę, że projekt jest „do konstytucji zastosowany".

W długiej i namiętnej dyskusji, jaka się rozwinęła, dało się zauważyć dziwne zjawisko. Izba ta tak uległa rządowi, jeszcze dwa lata temu, nie umiejąca zjednoczyć wysiłków na jednym zagrożonym odcinku, kiedy to każdy poseł reprezentował swoje indywidualne zdanie — teraz pod groźbą tych niebezpieczeństw jakie przemycić usiłował projekt rządowy, wystąpiła niemal jednomyślnie. Posłowie zrozumieli, że zagrożona jest wolność obywatelska, że projekt paraliżuje konstytucyjne swobody. Trafnym przeczuciem uwaga posłów skierowała się na instytucję sądów przysięgłych stanowiącą udział społeczeństwa w wymiarze sprawiedliwości. Opozycja sejmowa nieliczna w zasadzie potrafiła dzięki płomiennej wymowie swoich wodzów — Bonawentury i Wincentego Niemojowskich — przekonać nawet niezdecydowanych.

Pos. Dembowski Leon w krótkim ale doskonałym przemówieniu polemizuje z referentem: „Ref. Zieliński twierdzi, że przysięgli jako nie znający prawa kierują się instynktem, nie — Wysoka Izbo — *nie instynktem! Kierują się sumieniem!*". Wyroki sądów przysięgłych zasadzają się na sumiennym wyrzeczeniu zdania, lecz nie na głosie instynktu, i są prawdziwą rękojmią niepodległości".

Po krótkich uwagach pos. Jezierskiego zabrał głos pos. *Bonawentura Niemojowski*. Było to pierwsze wielkie przemówienie tego posła, zdobyło mu jednak żywy poklask Izby i zaliczyło w poczet wybitnych obrońców wolności.

Bon. Niemojowski stwierdził na wstępie, że „sądy przysięgłych i jawność postępowania są filarami sądownictwa". Niezależność sądownictwa zawodowego jest fikcją. Nominacja sędziego „przez rząd udzielana i nadzieja awansu, mimo niepodległości sądownictwa, czyni go niejako od rządu zawisłym". Przysięgły zaś wychodzi ze społeczeństwa. „dzisiaj na krześle sędziego, jutro między oskarżonymi znajdować się mogąc, z tą bezstronnością i uwagą sądzi

[1]) *H. Więckowska* — Opozycja liberalna w Król. Kongr. W-wa 1925, str. 85.

[2]) Opracowane na podstawie „Dziennika posiedzeń Izby Poselskiej w czasie Sejmu r. 1820". W-wa 1820. „Dziennik" nie daje pełnych tekstów przemówień lecz ich streszczenia. Wnikliwa cenzura usunęła zeń wszystkie ostrzejsze akcenty, pewne zaś sprawy, poruszane przez opozycję pominęła zupełnie.

współobywatela, z jaką sam chciałby być sądzonym". „Twierdzicie — woła mówca — że przysięgły może się mylić! Tak, ale nie jest to naiwiększe zło. *Omyłka przysięgłego mniej jest szkodliwa od fałszywego systemu sądowego*". Odpiera wreszcie zarzut, jako by naród polski nie dojrzał jeszcze do sądów przysięgłych: „Co do zarzutu zaś, jakobyśmy do przyjęcia instytucji sądów przysięgłych jeszcze niedojrzałymi byli", to twierdzenie takie „krzywdą jest narodową przeciwną doświadczeniu."

Na trybunę wchodzi poseł kaliski Wincenty Niemojowski, wódz obrońców konstytucji.

Pos. Winc. Niemojowski: „We wszystkich krajach, gdzie jest przyjęta równość w obliczu prawa, bez której niema wolności, zgodzono się na tę fundamentalną prawdę: że każdy obywatel powinien być sądzony przez równych sobie współobywateli". Sąd przysięgłych jest uzupełnieniem systemu reprezentacyjnego, jest „interwencją ludu przez swoich delegowanych w działaniach władz publicznych, aby te władze wykonywały się w jego interesie".

W dalszym ciągu przemówienia przerywanego często oklaskami zbija mówca rzeczowymi argumentami poszczególne punkty projektu, demaskuje ich reakcyjne, antykonstytucyjne tendencje. Wskazuje jakie niebezpieczeństwo stanowi projekt rządowy dla swobód obywatelskich, jakie pole otwiera dla nadużyć władzy. Wracając raz jeszcze do sądów przysięgłych zbija twierdzenie jako by wprowadzały one niejednostajność wyroków. „Nie prawda — woła mówca — one, nie stosując martwych formuł, lecz wchodząc w okoliczności przestępstwa, właśnie zapewniają jednostajność. Jednostajność nie martwą, schematyczną, lecz żywą, „ponieważ sądzić będą według okoliczności, czasu i miejsca". Kończy mówca okrzykiem: ‚Rządy dla ludów, nie ludy dla rządów".

***

Daczego projekt zniesienia sądów przysięgłych upadł na sejmie w r. 1820? Nie dla tego, że reakcja była słaba. Dla tego, że wolność, prawa obywatela, znalazły świetnych obrońców, którzy zdołali zmobilizować opinię nie tylko sejmu ale i kraju.

W. K. Bieńkowski.

NISZCZYCIELE I STRAŻNICY KULTURY

Wszechnica, uznana jeszcze wśród mroków średniowiecza za „dobroczynną matkę-żywicielkę", utrwalona wiekową pracą i owiana zadumą uczonych i mędrców, którzy z pokolenia na pokolenie oddawali swoim godnym następcom pochodnię nauki, — dziś w naszych oczach i niemal co dnia jest bezczeszczona i poniewierana.

Mury naszych wszechnic, niby wielkomiejskie zaułki, zażywające złej sławy, stały się terenem krwawych napadów i rozpraw nożowych.

Któż odważyłby się twierdzić, że do bezczeszczenia przybytków nauki zdolne są te inteligetne odłamy młodzieży, które z pokoleń są dziedzicznymi nosicielami duchowej i umysłowej kultury, wyznaczającej wyższe cele i obowiązki? Kto również wyobrazić sobie może studentów z ludu, rwących się w trudzie bezmiernym do światła, inaczej, niż w skupieniu pochylonych nad książką, rajsbretem lub szkiełkiem, i z pietyzmem odnoszących się do przedmiotów i miejsc swojej pracy?

Wykonawcy barbarzyńskich praktyk rekrutują się w znacznej swojej większości ze środowisk obcych nawskroś intelektualnej i uczuciowej kulturze narodu, i oni to stanowią niewątpliwie proniegiturę pokolenia wojennych parweniuszów, o drapieżnych i napastniczych instynktach. Z tytułu pierwotności swych uczuć i popędów, obciążyli swoich następców dziedzictwem duchowego prostactwa i zdobywczej tężyzny dorobkiewiczowskiej.

Wyziewy psychiczne tego powojennego szelmostwa zatruły nie jedno źródło kultury duchowej i nie jedną zahamowały pracę na obszarach naszego życia umysłowego, a dziś rozpylane i przenoszone przez proniegiturę wciskają się do wyższych uczelni, zakłócając i przerywając normalny bieg życia akademickiego.

Ustosunkowanie się profesorów wyższych uczelni do tych niesłychanych praktyk, bezczeszczących imię Alma Mater, jest rażąco niejednolite. Tutaj ustalić by można trzy zasadnicze grupy profesorów: pierwsza, najliczniejsza, obejmuje zahukanych szkolarzy, biernych we wszelkich warunkach. Obecnie przyczaili się w milczeniu i przykucnęli, czekając aż przejdzie burza, w cichości ducha jednak rozważają szanse walczących stron. Druga grupa, znacznie mniejsza, składa się z ojców duchowych tego kierunku, który za kanon polskiego patriotyzmu uznał siedzenie w „nieżydowskich" ławkach. Są to popleczn icy, jawnie lub z ukrycia popierający robotę krwawych band. Trzecia grupa, najmniej liczna, obejmuje profesorów, którzy wznoszą się wysoko umysłem i duchem ponad tłum bezdusznych belfrów, rachmistrzów życiowych i menerów reakcji. Mając mocne poczucie pełnionego obowiązku pedagogicznego, bronią bezkompromisowo tradycji wszechnic polskich oraz posłannictwa nauki, nie zbaczając na krok z obranej drogi ani pod naporem moralnej naganki ani też wprost pod naciskiem fizycznej przemocy, stosowanej przez tłuszczę wandali. Ta garstka profesorów, obdarzona dumą wolności nauki i dumą walki, skupiła się pod sztandarem tolerancji i broni z zaparciem się siebie zasad humanitaryzmu.

O ich stanowisku wobec dzisiejszej rzeczywistości na wyższych uczelniach społeczeństwo dowiaduje się przypadkiem, gdy ktoś z tej garstki, zmuszony okolicznościami, publicznie zabiera głos. Oto ostatnio Konrad Górski, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego, znany polonista, bynajmniej nie radykał ani socjalista, lecz ideolog katolicyzmu ogłasza swoje credo w artykule p. t. „Czy byłem tolerancyjny?". Wagę tego wystąpienia podnosi fakt, że jest ono odpowiedzią na próbę steroryzowania prof. K. Górskiego, które wyraziło się w rzuceniu petardy i w zniszczeniu jego mieszkania. Ten akt rozbestwionego wandalizmu nie odwiódł jednakże człowieka idei od ogłoszenia swego wyznania wiary, które zasługuje tutaj na przytoczenie w ważniejszych wyjątkach:

„Wysunięcie na czoło zagadnień życia akademickiego sprawy osobnego siedzenia jest zdumiewającym non-

sensem. Jest to objaw nienawiści, a więc rzecz, której z chrześcijaństwem pogodzić niepodobna; następnie jest to środek walki dziwnie nieskuteczny, a dla młodzieży akademickiej, jak o tym świadczy cały przebieg obecnego roku studiów, bardzo kosztowny... Profesorowie znani ze swych przekonań prawicowych zmuszają Żydów do siadania po lewej stronie, profesorowie lewicowcy wpychają przemocą Żydów między studentów polskich, a ja uważam, że nie mam moralnego prawa czynić ani jednego, ani drugiego; mogę tylko prosić jedną i drugą stronę, aby dla dobra pracy na uniwersytecie czyniły sobie wzajemne ustępstwa. Tylko raz jeden ta prośba moja nie została wysłuchana, a wówczas nie odbyłem wykładu... Obejmując katedrę, przysięgałem, że będę się odnosił sprawiedliwie do wszystkich studentów na uniwersytecie bez względu na pochodzenie, i od wykonania tej przysięgi żadne petardy pragnących mnie steroryzować opryszków odwieść mnie nie będą mogły... Wydalenie do końca bieżącego roku akademickiego (studenta Nanowskiego za udział w biciu Żydów) i pozbawienie praw akademickich na cały czas studiów to nie jest złamanie niczyjego życia, to tylko moralne napiętnowanie czynów, które są hańbą na współczesnej kulturze polskiej i o których uczciwa inteligencja polska myśli ze zgrozą".

Jak prof. Konrad Górski pojmuje rolę orędownika młodzieży w czasie przyboru barbarzyńskiej fali i jak głęboką żywi troskę o poziom i treść duchowej i obyczajowej kultury polskiej, świadczy jeszcze końcowy fragment jego wyznania:

„Gdybym mając możność i obowiązek, jako sędzia dyscyplinarny uniwersytetu, napiętnowania podobnych czynów, cofnął się przed tą decyzją, jaką wydałem, musiałbym mieć pogardę dla samego siebie za niegodną stronniczość i tchórzostwo. Mimo petard, które się podkłada ludziom pragnącym uczciwie spełnić ciążący na nich obowiązek sprawiedliwości, myślę, że stać jeszcze współczesną kulturę polską na wydawanie i utrzymanie takich wyroków, jak ten, który musiałem wydać. Artykuł ten adresowany jest do ludzi uczciwych, których chwała Bogu jeszcze u nas nie brak. Na przekonanie jednostek, ogłupiałych w swoim zaślepieniu i partyjnych menerów, żerujących cynicznie na zanarchizowaniu życia akademickiego w Polsce oczywiście nie liczę". (*Słowo*, nr. 79).

Chociaż różnimy się z prof. Konradem Górskim w pojmowaniu wielu zjawisk dzisiejszej rzeczywistości i na wielu polach ideowo się rozchodzimy, podnieść jednak należy jego bezkompromisowe, pełne siły moralnej wystąpienie. W chwili, kiedy panice ulegają nasze sfery oświecone i szerzy się małość ducha, kiedy panoszy się kult przemocy, a zaraza moralna sięga po coraz większe obszary naszego życia, głos z Wilna prof. Konrada Górskiego w obronie humanitaryzmu i sprawiedliwości brzmi mocno i winien rozlec się na całą Polskę, świadcząc jednocześnie, że i w tamtej stronie kraju czuwają odważni strażnicy kultury.

Henryk Lukrec.

NA PRZEDWIOŚNIU

W okresie wiosennego porównania dnia z nocą, kiedy natura cała budzi się do życia, na europejskiej szachownicy politycznej nastąpiły dwa poruszenia, których znaczenie i skutki sięgną bardzo daleko poza nadchodzącą wiosnę. Jedno z nich to — encyklika Papieska przeciw nacjonal-socjalizmowi, drugie to klęska wojsk włoskich na froncie Guadalajara, w szczególności pod Brihuega. Dwa te wydarzenia niczem ze sobą bezpośrednio nie związane, łączą się w swojej wymowie wewnętrznej, w skutkach i w znaczeniu, zadając ciężki cios totalistycznym dyktatorom.

Dyplomacja watykańska, jedna z najbardziej ostrożnych i doświadczonych, obliczająca zawsze swe kroki na daleką metę, w okresie najdalej idącego zbliżenia Rzymu z Berlinem, w okresie, kiedy między Kwirynałem a Watykanem panuje całkowita harmonia, uderzyła pięścią w stół. Taki niewątpliwie charakter ma encyklika Papieża Piusa XI do biskupów katolickich w Niemczech, datowana dnia 14 marca, a ogłoszona d. 22 marca, w parę dni po encyklice przeciw komunizmowi, noszącej datę późniejszą od encykliki niemieckiej. Już w tej grze dał widać, że Kuria Watykańska swój akt dyplomatyczny obmyśliła wszechstronnie i pragnęła mu nadać znaczenie wyjątkowe. III Rzesza całą swoją politykę sprowadza w wystąpieniach nazewnątrz, w sojuszach i w walkach do akcji przeciw komunizmowi. Różnie można o tym sądzić.

Bardzo niedawno publicysta francuski p. Jacques Bardoux na łamach „Le Temps" podał całkowicie w wątpliwość tę „ideologię" III-ej Rzeszy, analizując rzeczywistość — od przemówienia kanclerza Hitlera w Reichstagu w d. 21 marca 1933 r. (wkrótce po objęciu władzy), aż do tranzakcji finansowo-gospodarczych pomiędzy Niemcami a Z. S. R. R. z końca 1936 r. Na początku tej analizy mamy zdanie Hitlera brzmiące: „Rząd rewolucji narodowej jest osobliwie przygotowany do polityki realistycznej względem Rosji Sowieckiej. Walka z komunizmem jest naszą sprawą wewnętrzną, w której nie zniesiemy żadnej interwencji zzewnątrz. Ale stosunki polityczne państwa naszego z innymi mocarstwami nie będą przez to wcale dotknięte".

Na końcu tej analizy mamy układ sowiecko-niemiecki, zawarty w końcu 1936 r. o pożyczce w sumie 300 milionów mk. w towarach, których 40% stanowi sprzęt wojenny niemiecki dla Z. S. R. R.

Tak oto „ideologia" różni się od „rzeczywistości". Wobec tego Watykan przed wystąpieniem przeciw Berlinowi, oczyścił sobie przedpole, sam uderzając zresztą nie poraz pierwszy przeciw komunizmowi. Encyklika ta jednak tym razem miała znaczenie pewnego akcesorium do słów, które padły pod adresem Berlina. Słowa były mocne: w Berlinie nie pozwolono ich drukować, a w Rzymie wbrew dobrym stosunkom z Watykanem można je było odczytać jedynie w „Osservatore Romano", gdyż prasa włoska podała encyklikę jak gdyby w niemieckim streszczeniu, opatrując ją w dodatku uwagami oficjalnego „Völkischer Beobachter" zupełnie, jak gdyby nie istniał pakt laterneński.

„Bóg jest nam świadkiem — głosi encyklika — że nie masz dla nas donioślejszych dążeń niż osiągnięcie prawdziwego pokoju pomiędzy kościołem a państwem w Niemczech. Jeżeli jednak bez jakiejkolwiek winy z Naszej strony, ten pokój jest niemożliwy, Kościół Boski broni swoich praw i swoich swobód imieniem Wszechmocnego, którego ręka, niechaj to będzie wiadome, nadal dosięga wszędzie".

Do bohaterstwa w obronie swoich praw wzywa Papież wiernych katolików niemieckich. Ukrycie tej encykliki przed społeczeństwem niemieckim nie udało się; choć odbywają się rewizje u proboszczów i konfiskowano jej tekst, jednakże w niedzielę Palmową odczytano ją z wszystkich ambon. Konkordat jeszcze nie jest zerwany, ale Watykan stwierdził wobec całego świata, że jest naruszony. Długo i cierpliwie dokonywana próba pójścia wspólną drogą z III Rzeszą pod osłoną rzekomo razem prowadzonej walki z „marksizmem" nie udała się. Właściwie nie powinno to było być dla watykańskiego sekretariatu stanu niespodzianką. Obecni władcy Niemiec byli przecież chwilami bardzo szczerzy i nie ukrywali ani swoich zamiarów, ani swego wobec kościoła katolickiego stanowiska. Przypomnijmy parę najbardziej charakterystycznych i miarodajnych oświadczeń.

Wkrótce po objęciu władzy przez hitleryzm dnia 11 marca 1933 r. w Essen premier pruski Göring mówił: „Jeżeli marksizm był wrogiem śmiertelnym narodu niemieckiego, to jednak nigdy nie powinniśmy zapominać, że wszędzie tam gdzie czerwony łotr („rote Gauner") kradł dobro niemieckie obok niego stał czarny jezuita przekupień („Schmiere"), a paser niczem nie jest lepszy od złodzieja. Poprzedni system — to były trzy międzynarodówki — czarny katolicyzm, czerwony marksizm i złote żydostwo. Wypędziliśmy je z ich szańców, musimy zniszczyć ich ostatnie pozycje".

W ciągu czterech lat przywódcy partii nie zmienili tego poglądu. 7 lipca 1936 r. przywódca wydziału rasowego partii nar.-socj., Wagner, oświadczył: „Właściwym przeciwnikiem narodowego socjalizmu jest katolicyzm a w szczególności katolicyzm jako światopogląd".

Przywódca frontu pracy dr. Ley w 1936 r. taki rzucił aforyzm: „Nasza wyłącznie prowadząca do zbawienia wiara — narodowy socjalizm — nie znosi obok siebie żadnej innej wiary".

Wreszcie jeszcze jedna ostatnia cytata już z 1937 r. Przywódca czarnych szturmówek (S. S.), Himmler, jeden z mężów zaufania kanclerza Hitlera w czasopiśmie „Das Schwarze Korps" napisał bez ogródek: „Po bolszewizmie, wrogu publicznym Nr. 1, przychodzi kolej na zniszczenie wroga publicznego Nr. 2 — katolicyzmu".

Czyż trzeba coś jeszcze dodawać do tych wypowiedzi najbardziej miarodajnych przedstawicieli narodowego socjalizmu? Po prostu trzeba się zdumiewać, że dyplomacja watykańska łudziła się nadzieją, iż zdoła z pomocą konkordatu z takim partnerem uratować i obronić jakieś minimum praw kościoła. Dostojnicy kościelni w Niemczech z kardynałem Faulhaberem na czele, takich złudzeń nie żywili. W kazaniu sylwestrowym w Monachium wspomniany kardynał rzucił taką ponurą przepowiednię: „Jeżeli obecna propaganda przeciw chrystianizmowi trwać będzie nadal, oznaczać to będzie nie tylko całkowite zwyrodnienie i rozkład cywilizacji w Niemczech, ale i w całej Europie".

Tak wygląda w ocenie księcia kościoła ideologia i propaganda czynnika, który chce stać na czele krucjaty przeciw komunizmowi, jako wrogowi cywilizacji chrześcijańskiej.

I oto w tym samym momencie, kiedy z całą jaskrawością ujawniło się antychrześcijańskie oblicze hitleryzmu, rozbiła się jeszcze jedna legenda stanowiąca fundament powodzeń państw totalnych: niezwyciężoność armii. Na polach pod Guadalajara, w walkach o Brihuegę z legendy tej zostały strzępy. Powstał z nich wicher, zwany „ghibli", który wypędził dyktatora Italii z triumfalnej podróży propagandy imperializmu po Libii. Błyskawicznie zlikwidowano muzułmańskie parady w Afryce i Mussolini zjawił się w pałacu Weneckim w Rzymie, grożąc Anglii, złorzecząc anglikańskim pacyfistom.

Jeden z pisarzy emigracyjnych niemieckich, analizując wydarzenia ostatnie na froncie hiszpańskim, przypomina słynne powiedzenie bohatera „Zbójców" Schillera: „Wobec nagich mniszek macie wielki pysk...". Trzeba tylko — mówi — zamiast „nagich mniszek" powiedzieć „nagich dzikusów". Łatwe było, choć jeszcze nie jest — jak wiemy — całkowite zwycięstwo nad nagimi dzikusami w Abisynii. Łatwo szły pierwsze sukcesy nad milicją niekarną i źle uzbrojoną rządu hiszpańskiego. Teraz gdy przychodzi do rozpraw militarnych z wojskiem ogarniętym ideą, a jako tako wyposażonym i dowodzonym, czar zwycięstw pryska.

Armia włoska podstępem na pola Hiszpanii sprowadzona, dowiodła, że wojsko totalistycznej dyktatury nie jest niezwyciężone i że to, co pozornie stanowi siłę systemu, staje się jego słabością. Oto wymowna nauka ostatnich bojów hiszpańskich. Wraz z zatargiem zasadniczym pomiędzy Berlinem a Watykanem, który rzuca dziwny cień na stosunek pomiędzy faszyzmem a katolicyzmem, w wydarzeniach tych trzeba widzieć zapowiedź nowego układu stosunków w Europie, układu, w którym zapomniane i deptane hasła odwieczne wrócą, na należne im w rozwoju ludzkości miejsce. *t. r.*

BEZUŻYTECZNOŚĆ TERORU

Nazajutrz po straszliwym pogromie chrześcijan w roku 64, w którym Nero, wszechwładca Rzymu, spodziewał się wytępić na zawsze nienawistną herezję a zarazem ugasić własną okrutną żądzę krwi, żywotna gmina wyznawców Chrystusowych, mimo rzezi, jaką poniosła w ogrodach Cezara, mimo kaźni św. Pawła Apostoła, odbudowała się spokojnie i poważnie, osiągając nietylko moc i zwartość, ale i tak znaczną siłę liczebną, że już w pięć lat potym, w roku 69, autor Apokalipsy, wzywał ją do opuszczenia Rzymu, ażeby, wspólnemu ulegając losowi, nie podzieliła zagłady, grożącej pogańskiemu miastu.

Uwydatniając to zdarzenie, Ernest Renan zrobił swego czasu uwagę, nad którą powinniby zastanowić się ci wszyscy, którzy z ideami i grupami społecznymi walczyć chcą nie siłą przekonania lub wymową uczucia, ale spoczywającą w ich rękach przemocą materialną. „Co bije z owego zdarzenia — pisał Renan w swoim *Antychryście* (Antechrist, str. 204) — to bezużyteczność pogromów. Ruch arystokratyczny, skupiający się w małej liczbie głów, można powstrzymać ścięciem jednej lub drugiej głowy. Ale inna jest sprawa z ruchem ludowym, gdyż ruch taki nie potrzebuje przywódców, ani mistrzów uczonych. **Wykwintny ogród, w którym podetnie się łodygi kwiatów, przestaje istnieć; łąka raz skoszona, tym bujniejszą porasta trawą.** Tak i chrześcijaństwo nie poległo pod terorem Nerona, ale z krwi własnej

odrodziło się i rozrosło potężniej, niż wprzódy. Fala gniewu zakipiała w sercu tych, którzy pozostali przy życiu. Jeden sen owładnął ich duszą: stać się panami tych krwiożerczych pogan, aby rządzić nimi tak, jak na to zasługiwali, ogniem i żelazem". Stąd to — rzec by można — nieludzko krwawa masakra roku 64 stała się, w gruncie rzeczy, pierwszym krokiem ku tryumfalnemu zwycięstwu wieków III i IV.

Wszelako Renan nie dopowiada swej myśli do końca. Aby poznać jej ciąg dalszy i jej etap ostateczny, nie potrzebujemy, na szczęście, błądzić po kartach obcej literatury. Wystarcza nam sięgnąć do własnej, i to do tej, która bardzo ściśle zespolona jest z życiem naszym, z naszym dziejowym dramatem: do pism Józefa Piłsudskiego. Mija właśnie w r. b. lat 40 od chwili, w której na łamach „Robotnika", redagowanego podówczas przez Piłsudskiego, ukazał się artykuł tegoż, będący jakby odgłosem ale też i rozwinięciem myśli francuskiego historyka-humanisty.

W artykule tym („Wobec mordu w Dąbrowie", 12. XII. 1897 *) opisującym krwawy pogrom robotników przez policję carską, autor zastanawia się, dlaczego „carat naogół woli jednak odbywać swą katowską robotę potajemnie i cicho, występuje zaś w roli oprawcy publicznie dopiero w wypadkach ważniejszych". Dlaczego? Oto dlatego — odpowiada Piłsudski — że otwarte mordowanie ludzi nie może być przed światem ukryte: „Wystrzały zbyt szerokim rozchodzą się echem; zbyt głośno dowodzą, że w państwie cara nie wszystko jest w porządku, nie wszystko w cichości i pokorze znosi dobrodziejstwa knutowładztwa". A dalej? „Dalej — snuje myśl swoją Piłsudski — rząd carski wie dobrze z praktyki, że jeżeli kule karabinowe i krew, przez nie przelana, gaszą narazie iskierkę jawnego niezadowolenia w danym miejscu, to zato z całą jaskrawością wrażają się ludziom w pamięć i gorącym oddechem walki otwartej rozdmuchują pożar gdzie indziej. Taka Łódź w r. 1892**) umilkła po strzałach, lecz rozbudziła i rozogniła ruch robotniczy w całej Polsce".

Innymi słowy: wszelkie, choćby najsroższe, prześladowania, skierowane przeciw ruchom ludowym, t. zn. ruchom, które korzenie zapuściły w głębokie złoża duszy ludowej, z góry skazane bywają na bezskuteczność. Całe dzieje ludzkości — owa miejscami śmieszna, miejscami patetyczna tkanina zbrodni, nędz, szałów i poświęceń — są zgodnym potwierdzeniem tej prawdy, niemal nie znającej wyjątku. Gwałty Aleksandrów i Mikołajów nie ocaliły caratu, jak okrucieństwa Nerona nie zapobiegły tryumfowi chrześcijaństwa. Czyżby więc można przypuścić, że motywem sięgania po oręż teroru w dzisiejszych państwach totalnych jest wiara w jego użyteczność? Czyżby naprawdę Stalin wierzył, że uda mu się to, co zawiodło Stołypina i Murawiewa? Faszyzm i rasizm czyżby na serio chciały budować na gruncie, który zawalił się pod Metternichem? Gen. Franco czyżby nanowo próbował powodzenia tam, gdzie padł Primo de Rivera?

Nie. Jeśli chcemy dotrzeć do źródła systemu, opartego na prześladowaniu bądź politycznym, bądź ideologicznym, bądź religijnym, nie szukajmy go w przesłankach użyteczności i celowości praktycznej. Źródło to tkwi gdzieindziej. Skryte głęboko, tai się ono zazwyczaj w instynkcie odwiecznej, drzemiącej w człowieku, bestii, która zadaje ból, aby cieszyć się cudzym cierpieniem; aby rozkoszować się dreszczami spazmów, które teror, wyposażony w tortury, wydziera z piersi umęczonych ofiar. Tkwi ono w uczuciu, które kojarzy się z histrionizmem, w jaki tak często wyradza się fałszywy estetyzm i teatralizm. Nic bowiem w równym stopniu, co perwersja artystyczna, nie znieprawia moralnego życia człowieka; nic nie popycha go tak silnie do żerowania na ranach cudzych, do szukania rozkoszy na krzywdzie i męce bliźniego.

Okrucieństwo i zwyrodniały zmysł widowiskowy czyż nie były tajemnym natchnieniem tyraństwa we wszystkich niemal renesansowych państewkach włoskich? Władcy tych małych despotyj tym większymi byli tyranami, im bliżej stali areny cyrkowej.

Tu, z wąskiego skrawka między areną cyrku a miejscem kaźni lub łożem tortury (wszystko jedno, czy będzie nim loch GPU czy urząd GESTAPO) wyrasta jedno z najgroźniejszych a zarazem najbardziej ponurych zagadnień, jakie znają dzieje cywilizacji. Bo jeśli prześladowanie polityczne jest rzeczą bezmyślną i nieużyteczną ze stanowiska zamierzonych wyników, to czyż można powiedzieć, aby nie wywierało ono wpływu na prądy moralne środowiska, z którego czerpie swe ofiary? Mówiąc wyraźniej, teror polityczny, jeśli nie może obalić stronnictwa lub stłumić religii, to czy jednak nie zdoła zatruć poczucia moralnego w narodzie?

Odpowiedź, niestety, musi być twierdząca. Chrystus — jak wiemy — zatryumfował wprawdzie nad Rzymem między stuleciem IV a V, jednocześnie wszakże śladem jego tryumfu żdziczała barbaria wysunęła się z lasów, pól i ostępów, gdzie pierwotne plemiona przyjęły godło krzyża, jako pierwszy znak wstępu do życia kulturalnego: ale znak wiodący poprzez prześladowania i pogromy.

Śmieszną, oczywiście, rzeczą byłoby pytać dzisiaj, czy długi nawias mroku między wiekiem V a X dałby się uniknąć w dziejach Europy wówczas, gdyby chrześcijaństwo, miast kryć się w katakumbach i „ergastulach" niewolników, mogło było w jasnocie światła i wolności zdobywać szkoły, instytucje i ogniska rodzinne świata antycznego. Ale któż z nas nie pomyślał, choćby przez chwilę, nad tym, że barbarzyństwo wczesnego średniowiecza było raczej wynikiem prześladowań, jakim ulegali chrześcijanie, niż owocem promiennej nauki Chrystusa? Ta ostatnia wkraczała w szkoły Aleksandrii i w akademie Aten jako nowa potęga moralna, odradzająca i krzepiąca życie; gdy tymczasem prześladowania, ścigające chrześcijan, spychały słowo Chrystusa na poziom zabobonów i przesądów, omraczających umysłowość pierwotną; zmuszały je do przekradania się i pełzania poprzez podziemne jaskinie steroryzowanej świadomości.

Jeśli więc pytać mamy o sprawców tego barbarzyństwa, które osiadło na gruzach kultury antycznej, to kogóż wymienimy: Chrystusa czy Nerona? **I gdy chodzi o dziejową odpowiedzialność za GPU, to komuż ona przypada w udziale: socjalizmowi czy wielowiekowym władcom caratu?** *A. Grot.*

*) J. Piłsudski: „Pisma, mowy, rozkazy". Tom. I, str. 195-6.

**) Mowa tu o strajku w Łodzi, który z obchodu majowego przekształcił się na rewoltę, obejmującą wielotysięczne masy, a stłumioną we krwi setek robotników przez wojsko rosyjskie.

UDOSKONALANIE CZŁOWIEKA A KONCEPCJE PSEUDONAUKOWCÓW

Udoskonalenie człowieka było zawsze marzeniem reformatorów, przedmiotem dociekań filozofów i tematem doświadczeń przyrodników i lekarzy.

Broszura dr. Hirszfeldowej *) jest poświęcona zagadnieniom eugeniki. W I części autorka podaje w zwięzłym rzucie dzisiejszy stan nauki o dziedziczności. Rozpatruje teorię Mendla, podkreśla zasługi Morgana, który z niesłychaną przenikliwością odsłania tajniki skomplikowanej gry chromozomów, będących istotnym nosicielem dziedziczności. Omawia rolę cech dominujących i ustępujących, rolę osobników czystych i nieczystych w sprawie dziedziczenia cech i wykłada bardzo przejrzyście znaczenie tego wszystkiego dla sprawy dziedziczenia chorób. Rozdział ten, oddający ostatnie słowo nauki w tej trudnej dziedzinie, jest niedość przystępny dla przeciętnego czytelnika. Zyskałby wiele, gdyby nie był tak zwięzły.

W dalszym ciągu autorka omawia główne zagadnienia eugeniki. Szeroko traktuje sprawę kiły i innych chorób wenerycznych i domaga się ustawy przeciwwenerycznej i poradni przedślubnych, podkreśla szkodliwe następstwa późnego dojrzewania ekonomicznego, które nie pozwala na wczesne zakładanie rodziny. Gorąco występuje w obronie prawa do głębszej miłości, którą unicestwia prostytucja, a nadwyręża szeroko i bez zastrzeżeń stosowana przez pokolenie powojenne wolna miłość. W tej sprawie, mówi autorka, wielką rolę może odegrać nauczycielstwo, z jednej strony uświadamiając przy nauczaniu higieny o niebezpieczeństwie chorób wenerycznych, z drugiej oddziaływując wychowawczo. „Należy zerwać z jednostronnym rozwijaniem wyłącznie kultury umysłowej i fizycznej, a zająć się krzewieniem kultury uczucia... Nie brutalność i cynizm, lecz rycerskość powinna być uosobieniem męskości".

Rola innych chorób społecznych poza wenerycznymi, przede wszystkim alkoholizmu, jest potraktowana zbyt sumarycznie.

Ze spraw, związanych z polityką populacyjną, regulacja urodzeń ujęta jest nie dosyć konkretnie. Wyraźnie występuje czynnik ekonomiczny, ale rola jego naturalna, przekreślająca nieraz zamierzenia polityków ludnościowych, nie jest dosyć uwydatniona.

W ostatniej części swojej pracy autorka z wielkim zasobem erudycji i siłą przekonania rozprawia się z populacyjnymi chimerami hitleryzmu. Udowadnia bezcelowość szeroko stosowanej sterylizacji jako środka wytępienia chorób dziedzicznych, wykazuje, że liczba osobników z chorobą ukrytą wielokrotnie przewyższa liczbę chorych jawnych i wskutek tego jedynie sterylizacja, stosowana przez szereg pokoleń, może prowadzić do celu. Wchodzą tu w rachubę okresy, wprawdzie krótsze od geologicznych, ale miejmy nadzieję, dłuższe od reżimu. Autorka wylicza, że aby zmniejszyć częstość choroby drogą sterylizacji z 25% do 1% potrzeba 250 lat. Im rzadsze jest schorzenie, które z reguły należy do cech ustępujących, tym większa jest liczba zdrowych, noszących w sobie geny chorobowe.

Autorka podkreśla również, że cechy ujemne w jednym kierunku mogą współistnieć z wybitnie dodatnimi w innym. Podług Kretschmera, znanego psychiatry niemieckiego, który się specjalnie zajmował ludźmi genialnymi, choroby umysłowe są w rodzinach genialnych częstsze, niż u ludzi przeciętnych. Pewna chwiejność psychiczna warunkuje bowiem zwiększoną uczuciowość, niezbędną dla twórczości. Innymi słowy — nie można przyjąć bez zastrzeżeń, że sterylizacja osób, dotkniętych chorobami dziedzicznymi, wyjdzie ludzkości na dobre.

W konkluzji autorka wypowiada się za uwzględnieniem czynnika społecznego obok eugenicznego w ewentualnej ustawie sterylizacyjnej. Sterylizować należałoby osobnika chorego lub zwyrodniałego dziedzicznie tylko wtedy, jeżeli płodzenie dzieci przez niego może przynieść szkodę społeczeństwu. Wreszcie autorka omawia sprawę eugeniki pozytywnej, a mianowicie jak można za pomocą odpowiedniego doboru rodziców wpłynąć na wartościowość przyszłych pokoleń i wypowiada się za mieszaniem ras i typów ludzkich. Odrzuca bezwzględnie prostackie ujmowanie walki o byt. „Założenie, że osobnik zdrowy, mocny i brutalny, posiadający zatem jako indywiduum wartość w walce o byt, musi być jednocześnie jednostką, wartościową społecznie, jest błędne". Autorka dowodzi, iż miarą wartości społecznej człowieka jest wczuwanie się w potrzeby przyszłości, a nie dostosowywanie się do teraźniejszości. Najwięksi bohaterowie i wodzowie narodów, twórcy i myśliciele tym się właśnie zawsze odznaczali. Wynika stad obowiązek indywidualizacji w wychowaniu. „Wszelkie typizowanie i ujednostajnianie temperamentów, wyrabianie jednakowej odczynowości, stwarzanie zbyt jednolitej struktury duchowej musi się zemścić na rozwoju społeczeństwa". Zbyt mało wiemy o skomplikowanej grze czynników duchowych w dziedziczności i dlatego „miejmy więcej szacunku dla nieznanych możliwości natury".

Te pełne umiaru, a na ścisłych naukowych przesłankach oparte poglądy stanowią druzgocącą krytykę „glajchszaltowania" tak modnego nie tylko w Niemczech, ale i u nas.

W konkluzji autorka rozprawia się z zasadą rasizmu z nieubłaganą logiką. Udowadnia, że przeczy ona powszechnie znanym faktom naukowym, że czysta fizycznie rasa w ogóle nie istnieje, że właśnie mieszanie ras daje najlepsze rezultaty w dziedzinie stwarzania nowych wartości zarówno fizycznych, jak psychicznych.

Broszura dr. Hirszfeldowej zasługuje na jak najbaczniejszą uwagę. Żyjemy w czasach, gdy zagadnie-

*) *Dr. Hanna Hirszfeldowa* — „Z zagadnień dziedziczności i eugeniki", str. 78. — „Nasza Księgarnia". Warszawa 1937.

NA REDAKTORA ŻYDA — ANTYSEMITĘ.

Nie w tym sęk, że jesteś Żydem,
Choć mienisz się faszystą.
Bądź sobie Żyd, to nie jest wstydem,
Zwij siebie nawet Winkelrydem,
Bądź hitlerowcem lub frankistą,
Ale sęk w tym, że jesteś glistą.

nie eugeniki stało się w Niemczech terenem nieskrępowanej samowoli tyranów mniejszych i większych, źródłem najdzikszych koncepcyj różnych pseudonaukowców. Wiele jest przyczyn po temu. Najważniejszą może jest całkowite bankructwo starego świata, który widząc wschodzącą jutrzenkę nowego porządku i nieuchronną swą zagładę, usiłuje się bronić wszelkimi środkami, nie wyrzekając się najbrutalniejszych.

Podstawą psychologiczną jest morze nienawiści między narodami, które się rozlało w czasie wielkiej wojny i trwa dotąd. Nacjonalizm istniał zawsze w tej, czy innej postaci, ale nacjonalizm eksterminacyjny w dzisiejszej okrutnej formie, dążący do wytępienia fizycznego tych, których uważa za swych przeciwników, jest wynalazkiem naszych czasów i można go śmiało postawić na równi z pierwotnym kanibalizmem. Podstawowym warunkiem realizacji wszelkich poczynań jest posiadanie władzy, ale psychika i intelekt współczesny nie zadawala się brutalną siłą, lecz buduje ideologię. Hitlerowcy stworzyli teorię „naukową" wyższości i wyłączności rasowej. U jej kolebki stoi czynnik diametralnie sprzeczny z wszelkim racjonalizmem — namiętność. Jest to teoria z walki zrodzona i celom walki podporządkowana. Cel jej jest jasny — chodzi o rzekomo naukowe uzasadnienie prawa do wytępienia przeciwnika.

Akcja, prowadzona z wielkim hałasem, sięga daleko poza granice Niemiec. Sięga i do nas i nieraz znajduje posłuch. Dlatego z radością witać należy każdą próbę głębszej analizy kompleksu zjawisk, tworzących istotę zagadnienia, sformułowanego na wstępie, a mianowicie doskonalenia człowieka.

Prof. Zygmunt Szymanowski

KOBIETY, A PRZEŁOM CYWILIZACJI*)

Książka miss Holtby o kobietach napisana przed dwoma laty doczekała się już w ciągu tego czasu trzech wydań i stała się w krajach anglosaskich popularnym podręcznikiem feminizmu.

Wśród prac poruszających i oświetlających różne strony sprawy kobiecej książka miss Holtby wyróżniła się korzystnie pierwszorzędnymi zaletami. Informacje, jakie podaje, są pewne, zgodne z prawdą, przedstawione objektywnie. Ton książki nie ma w sobie tak częstej i przykrej „łezki" utyskiwań, charakterystycznej dla wielu pism bojowniczek feminizmu.

Z przeciwnikami sprawy kobiecej miss Holtby walczy argumentami pozytywnymi, przekonywającymi, podawanymi ze smakiem i dowcipem. Zagadnienia natury abstrakcyjnej z łatwością przybierają pod jej piórem formę wypadków konkretnych, dla których znajduje się rozumne i praktyczne, zgodne z założeniami feminizmu rozwiązania.

Treść pierwszej połowy książki stanowi przegląd historii kobiet w różnych krajach. W krótkich, kilkustronicowych rozdziałach autorka zaznajamia nas z życiem i położeniem kobiet u Żydów, Greków, Rzymian, u narodów średniowiecza europejskiego, w epoce Odrodzenia i Rewolucji.

Bardzo ważną część historii kobiet w tej książce stanowi rozdział drugi poświęcony rewindykacjom kobecym i wywalczaniu praw w różnych dziedzinach, a więc: praw politycznych, prawa do wykształcenia, do rozporządzania swoją osobą, prawa do pracy i do posiadania własności.

Najciekawszymi jednak, najbardziej bezpośrednimi, najściślej związanymi z chwilą obecną są karty książki, poświęcone „niedogodnościom epoki przejściowej", za jaką autorka uważa, dla sprawy kobiecej, czasy dzisiejsze.

Znamiennym ich rysem charakterystycznym, powstrzymującym i opóźniającym zupełnie zrównanie kobiety z mężczyzną i harmonijne współżycie obu płci, jest szereg zahamowań i kompleksów znajdujących uzasadnienie w tradycji i w opinii, a nie wytrzymujących próby analizy krytycznej.

Takim jest np. szeroko rozpowszechnione poczucie niższości kobiet, zaczerpnięte z tradycji i zaszczepione w podświadomości. „Zarówno chłopcy jak i dziewczęta, mówi miss Holtby, obserwują od dzieciństwa, że policjant kierujący ruchem na skrzyżowaniu ulic jest mężczyzną, że kierowca auta jest mężczyzną, że premier gabinetu, kominiarz, latarnik i król — to wszystko są mężczyźni. I że Pan Bóg też jest mężczyzną".

W jednej i tej samej rodzinie bracia często otrzymują wyższe wykształcenie niż ich siostry, mają większą możność rozporządzania pieniędzmi. W życiu społecznym nawet wybitnie uzdolnione i wysoko wykształcone kobiety nie osiągają takich stanowisk jak mężczyźni. Kobiety pracujące zawodowo na równi ze swymi mężami muszą się jeszcze zajmować domem, dziećmi, służbą, gośćmi. Gotowe są do poświęcenia swojej pracy dla wszystkich i dla wszystkiego. „Ale ta skłonność do uważania interesów każdego innego człowieka za ważniejsze od

*) Winifred Holtby: „Women and a changing civilisation", str. 213 „The Twentieth Century Library" edited by Krishna Menon, London, 1936.

Z uczuciem dumy i uzasadnionej wiary w siły narodu cały polski świat pracy czytał sprawozdania z przebiegu ostatniego zjazdu Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Przez długi szereg miesięcy szczuto tych ludzi w zjednoczonej prasie Ciemnogrodu. Nie było zarzutu, którego by im oszczędzono. Nie było instancji, przed którą by ich fałszywie nie skarżono. A wszystko w tym celu, aby rozbić jedność organizacji, a rozbitków jej następnie zapędzić w jarzmo wojującego klerykalizmu i wyzysku społecznego. Wszystkie te zapędy rozbiły się jednak o stanowczą postawę nauczycielstwa, które nauczyło się cenić spoistość swego związku i widzieć w nim najlepszą rękojmię swej godności i swej pracy skutecznej na pożytek rzesz ludowych.

Pracownikom szkoły — siewcom światła — pionierom postępu — cześć!

własnych jest jednym z najwyraźniejszych objawów kobiecego kompleksu niższości".

Poza tym kompleksem bardzo rozpowszechniony również jest „kompleks rycerskości", polegający na takim ustosunkowaniu się mężczyzny do kobiety, jak gdyby ona zawsze i wszędzie potrzebowała jego opieki, mimo, że np. obecnie kobiecie łatwiej bywa o posady i zarobki, niż mężczyźnie. Drażliwość mężczyzn na punkcie płacenia przez kobiety wspólnych ich wydatków bywa przyczyną zrywania między nimi stosunków.

Podczas wojny, jak wiadomo, kobiety zajęły dużo placówek opuszczonych przez mężczyzn, co im wówczas było poczytywane za spełnienie obowiązku względem ojczyzny. Po powrocie mężczyzn do kraju zostały jednak usunięte z wielu stanowisk. Proces ten zaostrzył się jeszcze znacznie podczas kryzysu gospodarczego. Na „kompleks kryzysowy" składa się rozgoryczenie, zobojętnienie na sprawy ogólne o szerszym znaczeniu, brak wiary w poprawę stosunków społecznych. Pragnienie karności i bezpieczeństwa, zwężenie ambicji, rezygnacja: takie są w zakresie psychologicznym skutki kryzysu.

***

Zastanawiając się nad pytaniem czy kobiety współczesne są dobrymi matkami, miss Holtby zwraca uwagę na fakt, że sprawy macierzyństwa ulegają zagmatwaniu wskutek ograniczeń prawnych w zakresie regulacji urodzeń, robienia poronień i używania środków antykoncepcyjnych. Kobiety dzisiejsze pragną naogół mieć mniej dzieci, a wychowywać je lepiej i w normalniejszych warunkach niż to się działo dotychczas, szczególnie wśród ubogich warstw ludności.

Ciągle jeszcze zbyt dużo sił kobiecych pochłania gospodarstwo, powodując zaniedbanie obowiązków obywatelskich, wyjałowienie umysłowe i uczuciowe. Fanatyczki gospodarstwa domowego płacą za swoją „wzorowość" cenę zbyt wygórowaną.

W ciągu kilku lat ostatnich we wszystkich prawie krajach europejskich dał się odczuć w sprawie kobiecej ruch regresywny. Szczególnie silny jest on w Niemczech hitlerowskich, gdzie modna dziś jest dewiza, głosząca, że wyłącznym terenem działalności kobiety winny być: „Kinder, Küche, Kirche". We Włoszech ruch analogiczny przybiera formę „kultu kołyski". O kulcie tym decyduje mussoliniowska polityka ludnościowa. Tymczasem takie poświęcanie danego pokolenia dla następnego mija się ze swym celem, gdyż na owym następnym pokoleniu będzie ciążył ten sam obowiązek, i tak dalej w nieskończoność.

W krajach katolickich ruch kobiecy jest zahamowany przez tradycję kościelną, uznającą jako zasadę przewagę mężczyzny nad kobietą.

Aby oprzeć współżycie obu płci na zasadzie równości, potrzebne jest zrealizowanie pewnych warunków. Należy więc przede wszystkim wyzwolić się z jarzma przesądów i przestarzałych tradycji. Następnie, trzeba się nauczyć wyzyskiwać maszyny w taki sposób, aby siła fizyczna mężczyzny nie była wynoszona ponad bystrość i inteligencję kobiety.

Życie społeczne i życie domowe należy zorganizować w taki sposób, by człowiekowi zostawało dość czasu na rozwój własnych zdolności i oddawanie się szlachetnym upodobaniom.

„I możliwe jest, konkluduje autorka, że w takim świecie znaleźlibyśmy różnorodność indywidualności, o jakiej się nam dziś nawet nie śni; solidarność społeczną, jakiej sobie dziś nie umiemy wyobrazić dzięki różnym przesądom, krzywdom, obawom i wstrętom; świetność przygody życiowej, szczęścia i zadowolenia, o jakiej teraz znajdujemy tylko napomknienia u poetów i proroków".

Stanisława Jarocińska-Malinowska.

PRAWDA O DRZEWIE

Na środku polany rosło drzewo. Był to właściwie tylko kikut o gałęziach zeschniętych i opadających, żałosny szczątek, marna resztka...

Tak, to było prawdziwe drzewo, ale to nie była prawda o drzewie...

Prawda o drzewie... Ileż trzeba ogarnąć, aby znać prawdę, bodaj tylko o drzewie... Trzeba znać jego konary i jego korzenie, jego liście i jego gałęzie, jego koronę, podaną do światła, podczas gdy dół spoczywa we własnym cieniu. Trzeba zbadać poszycie, wśród którego rośnie, niebo, o które się opiera, częstotliwość posuchy i deszczów i przepuszczalność ziemi i, niezależny od pogody, stopień jej wilgotności tam, gdzie kończą się korzenie.

Trzeba również wiedzieć, jak drzewo rosło. Czy, na przykład, kiedy było jeszcze wiotkie i giętkie, nie pasło się w jego pobliżu bydło, albo — choćby tylko jedna jedyna krowa i, czy to bydło, lub ta krowa, nie tratowały go, a jeśli tak, to ile razy drzewo zdołało samo się podźwignąć i znów wyprostować głowę do nieba. I — czy zdołało się wyprostować zupełnie, czy owe tratowanie nie zostawiło jakiegoś drobnego zniekształcenia, jakiegoś nieznacznego „kolanka" u nasady, tuż przy ziemi. Takiego „kolanka", na którym człowiekowi wygodnie przysiąść, ale — przez które już po tym aż do końca, trudniej żywicy swobodnie krążyć od korzeni drzewa, do jego korony, wspartej o niebo.

A może i tego wszystkiego nie dość.

Może trzeba wiedzieć jeszcze, jakie drzewa rosną wokoło. Czy są takie same, czy tylko pokrewne, czy wogóle — z zupełnie innego gatunku. I w jakiej rosną odległości. Czy tak blisko, że jest tłok i podziemna walka korzeni o miejsce i wodę, czy dostatecznie blisko, żeby, w razie wichury, mogły się o siebie oprzeć i nawałnicy śmiało stawić czoło. Czy może rosną od siebie daleko, że nie mogą się o siebie wspierać i huragan je łamie, mimo, że są mocne i równe i głęboko w ziemię wkorzenione. A może i tego nie dość. Może trzeba jeszcze zbadać, jakie na drzewie siadają ptaki, czy zakładają na nim gniazda, a również — czy wokół drzewa nie krążą owady i, czy go nie niszczą, choć są w porównaniu z nim tak śmiesznie maleńkie.

A może i tego wszystkiego jeszcze nie dość. Może ważne jest również, choć, na pozór, bez żadnego znaczenia, czy sowa w nocy nie zaczepiła się o to drzewo pazurem, wbita drugą łapą w krwawiący grzbiet zająca...

I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze — w nieskończoność...

Maria Milkiewiczowa

„HEJŻE NA PRZYSIĘGŁYCH"*)

„Gazeta Polska" doniosła, że „Senat powitał oklaskami" wynik głosowania nad wnioskiem, który zdecydował o ponownym odesłaniu do Komisji Prawniczej tak głośnej na całą Polskę sprawy uśmiercenia sądów przysięgłych.

Jest to już druga z rzędu porażka Ministra Sprawiedliwości, który nie mógł znaleść w Senacie posłuchu dla swoich tez. Są one, trzeba stwierdzić, nierzeczowe, okraszone wprawdzie pozorami naukowości, ale jakże dalekie od tych głębokich zasad i ideałów, którymi kieruje się nie tylko prawnik, lecz każdy uświadomiony obywatel, gdy w czasach dzisiejszych — tak groźnych i niebezpiecznych — myśli o roli społeczeństwa w państwie i o kierownictwie jego losami.

Argumentacja ministerialna zmierzała ku temu, by przedstawić sądy przysięgłych jako coś szkodliwego — a z przysięgłych usiłowano uczynić ludzi ciemnych i niedorosłych do sądzenia. W 1864 roku chłop i mieszczanin rosyjski zostali uznani przez carat za nadających się do roli przysięgłych — a w 1937 roku — polski robotnik, chłop, mieszczanin i inteligent — po długich i bohaterskich latach walk o niepodległość, po ugruntowaniu Państwa dzięki ich ofiarności, znojom i pracy — zostali oni potraktowani gorzej niż mużyki z nad Wołgi...

Z lubością forsowano kult niekompetencji przysięgłych, powoływano się na olbrzymią wiedzę, którą winien opanować sędzia. Zapomniano tylko dodać, że rozwój życia nowoczesnego zmusza wymiar sprawiedliwości do posługiwania się w szerokim zakresie pomocą biegłych i fachowców, że rola sędziego w tych warunkach stale kurczy się i uzależnia od elementu obcego, że i dzisiejszy młody sędzia nie jest w stanie sprostać tym wszystkim zagadnieniom, wymagającym wszechstronnego wykształcenia — a bardzo często posiada on mniej wyrobienia i wyczucia życiowego, niż szary przysięgły z Sambora czy Czortkowa...

Podrwiwano sobie z „nieomylności" sądów przysięgłych — ale nie przytoczono z długoletniej ich działalności ani jednego wypadku takiej „zbrodni". A mogłoby Ministerium ogłuszyć senatorów faktami i oznajmić urbi et orbi, jak to „grzesznie" pracują przysięgli. Mogłoby przeciwstawić im „nikłość" mylnych wyroków, wydanych przez sędziów przysięgłych. A zamiast tego dowiedzieliśmy się tylko, że kiedyś w głośnym procesie nie stawił się na rozprawę jeden z przysięgłych. Ileż to razy spóźniali się sędziowie fachowi, tylko że nikt ich grzywną nie ukarał...

Jest rzeczą powszechnie znaną, że procent uchylanych wyroków na korzyść oskarżonych jest u nas dość wysoki, że sądy apelacyjne niejednokrotnie przekreślają całkowicie wyroki sądów okręgowych, że jedna instancja karze śmiercią lub wielką ilością lat więzienia — a wyższa uniewinnia. I czy w związku z takimi skokami sprawiedliwości ośmieli się ktokolwiek mówić o nieudolności sędziów zawodowych. Nieomylność ludzka jest dogmatem naiwnych i dlatego nikt jej nie wymaga ani od sędziów przysięgłych, ani od koronnych.

Społeczeństwo — a w pierwszym rzędzie ci, którzy nie mają głosu w ciałach prawodawczych — robotnicy, chłopi i wielkie warstwy pracowników umysłowych, chcą wiedzieć konkretnie, jakie są grzechy polskiego sądownictwa ludowego, w czym przejawiła się jego szkodliwość i nieudolność, że chcą mu zgotować aż tak haniebny koniec.

Leon Berenson

---

*) Przedruk z *Robotnika* z upoważnienia autora.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PRAWDZIWI ARYJCZYCY

Konserwatywny *Czas* pisze:

„Zbyt mało interesujemy się sprawami językowymi! W „Gazecie Polskiej" ukazał się niedawno wyborny artykuł docenta Un. Jag., dr. Zdzisława Stiebera p.t. „Pokrewieństwa językowe". Przytoczmy choćby taki, mało ogółowi znany szczegół: „Nazwą Aria oznaczały same siebie wyłącznie ludy Indii i Iranu, których języki (wraz z sanskrytem) stanowią w obrębie rodziny indoeuropejskiej mniejszą, choć zwartą podgrupę, podobnie jak np. na Zachodzie języki germańskie. To też mówić, że Niemiec, lub Polak, są Aryjczykami, to tak mniej więcej, jakby ktoś powiedział, że Pers jest Słowianinem, a Indus Celtem. W Europie żyje tylko jeden lud niewątpliwie przybyły z Indii i mówiący językiem, pochodzącym z całą pewnością od staroindyjskiego. Są nim Cyganie, jedyni w Europie prawdziwi Aryjczycy".

Stądby wynikało, że polscy hitlerowcy po sankcję moralną dla paragrafów aryjskich udawać się powinni do następcy świeżo zmarłego cygańskiego króla Ćwieka z obozu na Woli czy na Marymoncie.

TRZEBA WYBIERAĆ...

Czytamy w *Czasie:*

„Ubóstwienie rasy i krwi, mianowanie się nową religią, musiało doprowadzić narodowy socjalizm do konfliktu z innymi religiami, w pierwszym rzędzie z katolicyzmem. Państwo Boże, zbudowane ponad ludzkimi granicami, wiążące narody wielojęzyczne więzami miłości, nieuznające różnicy między Żydowinem i Grekiem, państwo to uniwersalne musiało być solą w oku i kamieniem obrazy dla państwa ziemskiego, wyrosłego na micie. Nie można być jednocześnie wyznawcą obu państw. Kto służy jednemu, z konieczności zdradza drugie. Gdy Cezar uzurpuje prawa Boże, nie dość mu już na tym, jeśli mu się odda, co jego jest. Zaś Bóg „nie da się z siebie naśmiewać": „Deus non irridetur". Tu już nie można godzić — sztucznie: trzeba wybierać: — Chrystus czy Hitler?"

ZAROBKI ROBOTNIKÓW NIEMIECKICH

Suma dochodów robotniczych w Niemczech wyniosła w 1929 r. 44,4 miliardów, w 1936 r. suma ta spadła do 31.7 miliardów. Ze sprawozdania „Reichsarbeitskammer" okazuje się jednak, że robotnicy z swoich zarobków odbierali zaledwie 69%, resztę zaś pochłonęły różne obowiązkowe składki. W 1929 r. przeciętny zarobek robotnika wyniósł 2.560 mrk. rocznie, zaś w 1936 r. nominalnie wyniósł 1981 mrk., faktycznie jednak znacznie mniej, wzrosły bowiem koszty utrzymania w Niemczech.

ROOSEVELT WALCZY

Żaden postępek w dotychczasowej karierze Roosevelta nie wywołał takiego hałasu, tylu protestów i tak gorączkowej dyskusji, jak projekt reorganizacji Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

Projekt Roosevelta przewiduje wywarcie silnego nacisku na sędziów Sądu Najwyższego oraz wszystkich innych sędziów federalnych, aby złożyli urząd z chwilą przekroczenia 70 lat wieku. Z chwilą, gdy sędzia Sądu Najwyższego po osiągnięciu tego wieku nie zgodziłby się na ustąpienie, prezydent mógłby mianować dodatkowego sędziego.

Z pośród obecnych dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego, mianowanych dożywotnio, sześciu przekroczyło już wiek 70 lat. Oznacza to, że Roosevelt zmierza do całkowitej zmiany składu najwyższej instacji sądowej Stanów Zjednoczonych.

Konserwatyści oskarżają Roosevelta o podkopywanie fundamentów ustroju Stanów Zjednoczonych.

Prezydent Roosevelt zmierza do dalekiego celu. Nową reformę pragnie zaprząc do dzieła, które od dawna już podjął. Pragnie bowiem — jak mówią w Waszyngtonie — wskrzesić akcję odbudowy (N.R.A.) i pomocy rolnictwu (A.A.A.), utrąconą przez konserwatywny Sąd Najwyższy w okresie pierwszej kadencji prezydenckiej.

FÜHRER HOLENDERSKI

Ostatnia encyklika papieża o hitleryzmie nasuwa na myśl historię „Nationaal Socialistische Beweling" w Holandii. Partia ta została założona w r. 1931 przez inżyniera A. A. Musserta. Nie tylko jej nazwa, lecz także ideologia, program, metody i demagogia przypominały — w najistotniejszych rysach — hitlerowskie pierwowzory.

Ten holenderski ruch „narodowo - socjalistyczny" już w latach 1933—34 popadł w ostry konflikt ze sferami katolickimi swego kraju. W Holandii istnieje silne stronnictwo katolickie. Napróżno inż. Mussert usiłował przekonać władze kościelne, że ze strony jego partii nie grozi kościołowi żadne niebezpieczeństwo, napróżno zabiegał o audiencję u arcybiskupa Utrechtu. Poszedł nawet tak daleko, iż powołał przy swej partii specjalną radę do spraw wyznaniowych, której sekcja katolicka miała przestrzegać, aby program i działalność N.S.B. nie były sprzeczne z dogmatami wiary. Kuria biskupia odmówiła jednak wyznaczenia swego rzeczoznawcy do tej rady. Walka pomiędzy führerem holenderskim a władzami i opinią katolicką zaostrzała się z dnia na dzień. Aż wreszcie 24 maja 1936 r. odczytano we wszystkich świątyniach katolickich Holandii list pasterski, zabraniający duchownym udzielania sakramentów tym wszystkim wiernym, którzy w jakikolwiek sposób współdziałaliby w rozwoju N.S.B. Był to więc rodzaj klątwy.

Mussert na specjalnej audiencji w Watykanie wręczył kardynałowi Pacellemu memoriał, adresowany do papieża. Nic to nie pomogło.

Gwiazda niedoszłego Hitlera Holandii straciła wiele na swym pierwotnym blasku...

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Leopoldowi Z. w Łodzi: List Pana sprawił nam wielką przyjemność.

Panu Mieczysławowi K. w Częstochowie: Zgoda.

Panu St. M. K. w Łodzi: Przesłaliśmy wszystkim. Dziękujemy.

Panu Aleksandrowi W. w Radomiu: Właśnie o to chodzi. Cierpliwości nam nie zbraknie.

Pani Annie H. w Toruniu: Przebieg Zjazdu delegatów Związku Nauczycielstwa Polskiego to jeszcze jeden dowód, że zakusy reakcji wywołują coraz silniejszy opór ze strony żywiołów demokratycznych.

Panu Janowi L. w Krakowie: Uwagi bardzo słuszne. Nieraz jeszcze będziemy o tych sprawach pisali.

Pani Marii B. w Gdyni: *Epoka* ukazuje się obecnie z datą 5-go i 20-go dnia każdego miesiąca.

Panu Edwardowi M. w Krakowie: Skorzystamy.

Panu Antoniemu T. w Piotrkowie: Bardzo dziękujemy.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na II-gi kwartał 1937 r. Abonentów, którzy nie wpłacili prenumeraty za kwartał ubiegły, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie im pisma.

Do numeru niniejszego dołącza się przekazy P. K. O.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Edwin Herbert: Narodziny Płomienia. Poezje. Poznań 1937.

Anna T. Nilsson: ABC na rzecz pokoju. Daty i fakty. Słowo wstępne: prof. Tadeusz Kotarbiński i Zofia Nałkowska. Nakładem Księg. F. Hoesicka. Warszawa 1937.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska: Z dziejów obyczaju w Polsce. Z przedmową prof. Michała Orzęckiego. Warszawa 1937. Polskie T-wo Walki z alkoholizmem „Trzeźwość". Skł. Gł. Księg. Gebethnera i Wolffa.

Biblioteka „Wici": Pogwarki Wiciarek. Warszawa 1937. Nakładem Związku Młodzieży Wiejskiej R. P.

Józef Nikodem Kłosowski: Uroczysko. Powieść. Tom I. Biblioteka „Dziennika Poznańskiego" 1937.

T. J. Junosza: Mgła nad Sekwaną. Powieść. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Dr. Hanna Hirszfeldowa: Z zagadnień dziedziczności i eugeniki. Nakład „Naszej Księgarni". Warszawa 1937.

J. Makarczyk: Liberia, liberyjczyk, liberyjka. Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej. Warszawa 1937.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki: od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3628 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.